RODZINA I DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 5

ROK III MAJ 1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR 5 MAJ 1938 ROK III

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Dr Michał Dadlez.

GNIAZDO NA SKAŁACH ORŁA.

W trzecią rocznicę
12 maj 1935—1938.

„Gdy sami śmiać się nie możecie, w kąt rzućcie instrumenty pedagogiczne. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie" — te słowa życiem drgają, mówią, że j e s t, że bije sercem ziemię Rossy rozgrzewając, by kwitła uśmiechami ciągłych odrodzeń. Myślimy o Jego prawdach - słowach, mówimy o Jego prawdach - czynach. żyje w nas. Nie ma dziedziny życia polskiego, której by duchem nie tknął. Nie tylko my — żołnierze, ale i my — wychowawcy i my — rodziny polskie czujemy bicie tego Serca, jakby wciąż było żywe. Serce Syna, co Matkę nade wszystko miłowało i radowało się tym wszystkim, co „miłe i matczyne", tym co się chowa w „rodzinach — gniazdach", co patrzy oczyma dziecinnymi i uśmiechem dziecinnym czaruje. Przed mocą tego czaru największy polski Wódz obronić się nie może: boć przecie „bezsilność dziecka jest jego potęgą". Stąd biło źródło optymizmu: z umiłowania młodości. Bez tej wrodzonej siły pedagogicznej na nic wszelkie metody. Myśmy tak to rozumieli: dlatego umieliśmy dojrzeć spod brwi krzaczastych wesołe siwych oczu wejrzenie i uśmiech pod sumiastym wąsem. Dlatego Dziadka kochały nie tylko dzieci, ale i dzieci — żołnierze. Za moc dawania rozkazów i za szczery humor.

Młodzież nasza — musi zawsze, jeśli ma we krwi iskierkę polskości, której cechą szczególną jest cześć dla odwagi żołnierskiej, m u s i kochać Marszałka Piłsudskiego, jak kocha Kościuszkę, Dąbrowskiego, Księcia Poniatowskiego — za dzielność, za siłę woli, za męstwo i jeszcze za coś: za urok tajemniczości, który tak młodzież pociąga. Za romantyczną nagłość decyzji i za zdobycze pozytywne. Młodzieży musi imponować niezwykła męska wytrwałość, okazywana przez lata walki upartej i pracy: gdy czarne czcionki tajnej drukarni pulsując żywą krwią atakowały carat; gdy ani uderzenia moskiewskich kolb w Irkucku, ani Sybir biały nie potrafiły złamać Bohatera. Odwaga zawsze porwać musi serce Polaka: czyż młodzi mogą nie wielbić słysząc, jak w czasie odwrotu przez morze armij rosyjskich

śmiałym ruchem przeprowadza garstkę szaleńców do Krakowa, albo gdy w czasie przeprawy przez Nidę z ostatnim żołnierzem rzekę przepływa; kiedy pod gradem kul spaceruje w okopach, gdy się uśmiecha na widok granatów pękających o 50 kroków od kwatery. Wreszcie, gdy jako Wódz Naczelny pod Lidą za pierwszą linię sam idzie, wprost na ziejącą ogniem pancerkę bolszewicką i wojsko całe porywa za sobą. Któż posiał srebrne łany bagnetów, czerwone maki chorągiewek? Rzucił w przestworza brzęczące roje samolotów i pierwsze, śmigłe stalowe delfiny na polskie morze? — Legionowego kopciuszka w królewnę — armię przemienił?

Wyczarował legendę o wojsku i — jak Czarowic Żeromskiego wezwał młodych „do żołnierstwa w wielkości"; jak Konrad Wyspiańskiego zawołał: więzy rwij! —

Szał romantyczny powiązał jednak z trzeźwością: z wyrachowaniem pozytywnych planów.

Fanatyk pracy, który nas zmusił do wyścigu; umiał z koturnów wielkości zejść na poziomy nowej rzeczywistości, akcentując mocno drugie hasło konradowe: oto buduję Polskę.

Wezwanie to dzisiejsza młodzież, nawykła do rozstrząsania zagadnień społecznych, z żywym zainteresowaniem przejęła wiedząc, że na tym polu może być przydatna, skoro jej losy nie dały, jak ojcom, walczyć o niepodległość.

Wiążąc romantyzm walki z pozytywnym budowaniem Państwa, Wielki Marszałek połączył dwa pokolenia: wczorajszych i dzisiejszych, starych i młodych. I przez to żyje w młodych.

Wszystkie momenty wychowawcze musimy wykorzystać: przykłady niezwykłej siły woli i umiłowania prawdy pomogą przy kształtowaniu młodzieży naszej na ludzi mocnych, prawych synów Ojczyzny. „Czy nie trwożą się (mówi o młodych Marszałek) — gdy widzą starszych tak zakłamanych?" Ucząc śmiałości, rzetelności, samodzielności, poczucia honoru, możemy się powołać na życie Józefa Piłsudskiego.

Poezją było i prozą: barwnym filmem przygód pociągających i szarą nicią trudów. Człowiek serca, którego „zachwycał" Słowacki, zdobył wodzostwo i podniósł chorągiew budziciela Rycerza, wołającego: kto ma duszę niech wstaje, niech żyje, bo jest czas żywota dla ludzi silnych. Ów tętent pędzącego dał się raz pierwszy słyszeć właśnie „od krakowskiego gościńca" (jak przepowiedział poeta), gdy dźwiękiem rogu złotego zabrzmiał stalowy rozkaz: Chłopcy, naprzód! Idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania!

Czyż takie wydarzenia i „chwile osobliwe" wymagają jakichkolwiek komentarzy: czyż sama prawda nie porwie młodych?

Przemiana największej poezji w rzeczywistość — jedyna w dziejach Polski — musi być nie tylko odczuta, ale i zrozumiana, głęboko rozumiana

przez młodzież. Młodzież dzisiejsza, praktyczna musi — poza wyczuciem — dojść do zrozumienia rzeczy.

Nie wolno tylko nam starszym zakrywać oblicza prawdy, pomniejszać wielkości, osłabiać bohaterstwa.

Myśmy się wszyscy wychowali przede wszystkim na polskich dziejach. Dziwne to dla nas, że młodzież dzisiejsza tak ciąży silnie do teraźniejszości, że pragnie nowych realizacyj, że jej historia nie wystarcza; a jeśli mówi o tej niedawnej, odczuwa raczej żal i zazdrość: oto ich wtedy nie było. A oni muszą się też wyżyć. Myśmy się mogli wyładować w burzach wojennych, a oni chcą wpleść siebie w „dzieje" budowy C. O. P., tworzenia kolonij polskich, doskonalenia techniki, upraktyczniania wiedzy.

Jeśli dawność działa na młodych, to tylko dlatego, że może się odbić w zwierciadle dzisiejszej rzeczywistości: poezja dawnej husarii odżyła w skrzydlatych lotach R. W. D. — Rycerstwo zbrojne to dziś potężny motor - ship Piłsudski i groźne czołgi, pancerna broń.

Zapomnieć jednak nie można, że wszystko to (co było ongiś legendą) wyrosło z Czynu Komendanta legionów, Naczelnego Wodza i Budowniczego Państwa. I prawdy tej żadne złe moce — wrogie Polsce — nie zasłonią.

On sam to widział wyraźnie, gdy żegnał Króla Ducha: wiedział, że gdy policzy kości ziemi otwartej, znajdzie żywe, wciąż świeże prace ludzkie, co śmierć przezwyciężają, żyją i obcują między nami. Te prawdy szeptał mu Król Duch.

Wcielenie najwznioślejszych bohaterów naszej wielkiej poezji — nie jest tylko symbolem: jest człowiekiem. Kocha ziemię, a nade wszystko dzieci. Miłuje Wilno (miasto serca) i Lwów (który przepasał wstęgą Virtuti Militari), Kraków, skąd wyruszał i gdzie wrócił do panteonu wielkości. A w Belwederze warszawskim czuwa wciąż: na ziemi polskiej, na łonie drugiej Matki. W ten ciągły rytm Serca poeta współczesny wsłuchuje się: „Tak mi jest dobrze. Ziemi nie wezmę spod powiek, którą kocham jak zwykły, zakochany człowiek".

Pełnia miłości była w nim: i od nas miłość musi iść ku niemu, ogarniać go w całości, nim się rozpłomieniać, nim promieniować na drugich.

Wspinać się myślą ku niemu, który się rozsiał po ziemi polskiej i tli w rodzinnych zniczach, choć sam mogąc wybrać: „wybrał zamiast domu gniazdo na skałach orła".

Dr Jadwiga Szmydt.

KSZTAŁCENIE WOLI DZIECKA.

Słyszymy wokół narzekania rodziców, nauczycieli i wychowawców: — dzieci są nieznośne, nie chcą się uczyć, są niesystematyczne, niewytrwałe, nieporządne. Młodzież szkolna nie robi należytych postępów w nauce itd.

Można by tak długo wyliczać zanim wyczerpałoby się wszystkie żale wychowawców.

Narzucają się nam zagadnienia: kto winien, gdzie szukać źródła zła, i jak temu zaradzić? Przyczyny są różnorodne, istnieje ich wiele, jednak podstawową przyczyną tego zła, panoszącego się wszędzie — jest słaba wola dzieci i niedość wysoki autorytet rodziców, wychowawców, co musi siłą konsekwencji prowadzić do nieposłuszeństwa dzieci i co daje następne ogniwa trudności wychowawczych, wyżej wyliczone i inne, znane rodzicom.

Wysunęłam dwa źródła niedomagań wychowawczych, obecnie trapiących rodziców. Zajmiemy się jednym na razie zagadnieniem woli — zwłaszcza, że o autorytecie była już mowa na łamach tego pisma [1]).

Z wartości znaczenia silnej woli w życiu jednostki i w stosunku jednostki do społeczeństwa, zdajemy sobie sprawę wszyscy — i wiemy, że wychowanie ludzi o silnej woli warte jest największych wysiłków. Wiemy bowiem jakie znaczenie ma w powodzeniu, w dążeniu do osiągnięcia celu, w życiu codziennym, silna wola. Licznych przykładów dostarcza książka Smailsa — „Samowychowanie". Przez słabą wolę natomiast wielkie zdolności marnują się; — bądź ludzie porządni, dobrzy załamują się, popełniają nieraz przestępstwa, łamią sobie i innym życie.

Zastanówmy się, kiedy jest potrzebny wysiłek woli, w jakiej chwili życia człowiek odwołuje się do woli?

Wtedy, kiedy stajemy wobec dwóch dróg, dwóch alternatyw: np. Dziecko zasiadło do odrabiania lekcji — nagle z podwórza słychać głosy chłopców, wołających go do zabawy. Albo dziecko idzie spać — powinno ułożyć ubranie na krześle — ale jest śpiące, chce od razu kłaść się do łóżka. Jasnym jest, że zwycięstwem woli w pierwszym przykładzie jest odrobienie lekcji, w drugim — ułożenie przed spoczynkiem ubrania. Brakiem woli — pójście na zabawę na podwórze, pójście spać nie ułożywszy rzeczy. Zmuszenie dziecka do odrobienia lekcji, do ułożenia ubrania — wymaga wysiłku woli nie tylko ze strony dziecka, ale i ze strony osoby, stawiającej pewne wymagania. Jest to również dla niej ciężkim nieraz konfliktem, bowiem przykro jest dla matki patrzeć, jak senne dziecko układa ubranko, wszak ono się męczy, ono traci minutę wypoczynku i myśl ta niepokoi i wywołuje konflikt w sercu kochającej matki. Zwycięża najczęściej troska o daną chwilę i matka sama pośpieszenie układa rzeczy, aby dzieciątko jak najprędzej położyło się do łóżeczka. A ileż matek, wychowawczyń, babek, ciotek — odrabia lekcje za swoich wychowanków — i wszystko to czyni z miłości. I tak cały dzień schodzi na podobnych ustępstwach — z różnych względów — bądź zdrowia, bądź braku

[1]) Nr. 9-ty 1937 r.

czasu, bądź braku cierpliwości itd. Bo również często brak cierpliwości powoduje wyręczanie dzieci. I nigdy nie ma chwili odpowiedniej dla wymagania, dla przełamania się, na dostosowanie się do czyjegoś żądania, bądź pójścia po linii obowiązku. Co wyrasta z dzieci tak chowanych? — to wiedzą rodzice, ale zdobywają tę wiedzę niestety przeważnie za późno. Ślepa miłość czyni ich krótkowzrocznymi.

Wychowanie wymaga od rodziców i wychowawców zdobycia się na pewien wysiłek woli, na odrzucenie fałszywych pojęć o radości życia, odrzucenie fałszywego pojęcia sentymentalnej miłości rodzicielskiej — wyrażającej się w zadawalnianiu wszystkich kaprysów, zachceń dziecka: „baw się dziecinko", rób co ci się podoba — miej szczęśliwe dzieciństwo itd. I z miłego naprawdę dziecka wyrasta tyran zamęczający, zadręczający rodziców, otoczenie — pretensjami i coraz nowymi żądaniami. Wyrasta młodzieniec, niezadowolony, rozkapryszony, zblazowany. A jako dorosły? — tak zw. ofiara losu — bezwolna, bezkształtna masa, rzucana wrażeniami, okolicznościami — zblazowany, trzcinowaty osobnik — albo brutal tyranizujący otoczenie najbliższych.

Pamiętajmy, że fundament wychowania dziecko otrzymuje w domu. O tym mówią przysłowia, w których jest zawarta mądrość życia, pedagodzy i sama młodzież o sobie.

Jak więc rozwinąć silną wolę? Jak dać podstawy wychowania?

Otóż chodzi o to, by dziecko osiągnęło w dzieciństwie jak największą łatwość przezwyciężania się — aby osiągnęło nałogową skłonność do wysiłków. Aby nałogiem stało się pójście zawsze drogą doskonalszą — drogą wartości wyższych. Rozwój celowych przyzwyczajeń czyli nałogów leży u podstawy kształcenia woli.

Jedynym środkiem do osiągnięcia takich dobrych przyzwyczajeń to działanie i powtarzanie. Wyzyskać ku temu można i trzeba czynności codziennego życia, zabawę dziecka, ubieranie się — pracę wszelkiego rodzaju — potem, gdy starsze, naukę, odnoszenie do otoczenia itd.

Dobre przyzwyczajenia wpajane w latach dziecięcych, młodzieńczych — staną się trwałymi, zwiążą się organicznie z osobą wychowanka. Przez szeregi takich drobnych przełamań, przez posłuszeństwo — rozwija się wola.

Posłuszeństwo jest środkiem kształcenia woli. Posłuszeństwo nie łamie woli dziecka, jak niektórzy sądzą, tylko jest jednym ze środków przyzwyczajania dziecka do panowania nad sobą. A przez opanowanie siebie dochodzi się łatwiej do opanowania sytuacji życiowych. Mówią, że Napoleon był wyjątkowo posłusznym dzieckiem.

Należy pamiętać o tym, że wychowanie woli należy zacząć bardzo wcześnie, już od pierwszego roku życia — niemal od chwili urodzenia — oczywiście odpowiednio do sytuacji niemowlęctwa. Oprzeć się należy na wrodzonych właściwościach dziecka, na instynkcie naśladowczym, ciekawości i zamiłowaniu do czynu, ruchu. Sposób odnoszenia się wychowawców musi być stanowczy — a jednocześnie spokojny, łagodny. Trzymać się muszą raz postawionych wymagań, nie zaniedbywać ich bez poważnych przyczyn. Musimy bowiem pamiętać, że tylko przez wytrwałe prowadzenie możemy osiągnąć dobre wyniki.

Przechodzimy teraz do kształcenia woli dziecka w okresie szkolnym. Sprawa się bardziej komplikuje — zwiększa się zakres czynności wykonywanych przez dziecko i zwiększa się ilość osób wychowujących dziecko. Oprócz czynności codziennych ubierania, mycia, porządkowania, spełniania usług starszym, dochodzi czynność uczenia się, Czynności te dokładnie i samodzielnie wykonane mają podwójne znaczenie wychowawcze. Dziecko jednocześnie zdobywa wiedzę i rozwija wolę, przezwyciężając się w wykonaniu dokładnym i samodzielnym. Oczywiście musi być spełniony ten ostatni warunek, aby czyn miał znaczenie dla kształcenia woli. Inaczej zachodzi tylko fakt tresury zewnętrznej, przeżycie powierzchowne, nie sięgające w głąb osobowości. Dla ćwiczenia woli nie mamy potrzeby wprowadzania specjalnych ćwiczeń, życie ich dość dostarcza.

Ot weźmy przykład — dziecko gimnastykuje się. Jak wyzyskać gimnastykę dla kształcenia woli? Otóż zarówno dla zdrowia jak i dla rozwoju woli gimnastyka ma tylko wtedy znaczenie, jeśli jest wykonywana dokładnie, starannie, z pewną siłą i precyzją ruchu. Ma tu więc znaczenie nie to — co dziecko wykonuje — ale jak wykonuje. Kilka ruchów, krótko — a dobrze. Starannie, dokładnie. Inny przykład — odrabianie lekcji — wartość wychowawczą ma tylko zadanie takie, które jest wykonane samodzielnie, starannie — daje ono dziecku zadowolenie i poczucie siły z przełamanej trudności. Pomoc musi się ograniczyć tylko do wytłumaczenia — wyjaśnienia rzeczy niezrozumiałych dla dziecka. Jednocześnie kształtują się dzięki takim ćwiczeniom uczucia funkcjonalne.

Dobrym ćwiczeniem jest wypełnianie drobnych przysług — i tu również czuwać należy nad jakością — wymagać mało, ale zawsze ścisłego wykonania, według danych instrukcyj.

Odnośnie starszych dzieci wskazanym jest — rozplanowanie pracy na cały dzień. Oczywiście planujemy wespół z dzieckiem — i czuwamy nad dokładnym zrealizowaniem planu zamierzonego — zostawiając jak największą samodzielność.

Aby uniknąć nieporozumień, niejasności muszę podkreślić, że tego rodzaju wymagania, o których powyżej było mówione, nie są równoznaczne z systemem koszarowym życia, ciągłych nakazów, rozkazów, trzymania bezustannego w karbach i kierowania każdym krokiem dziecka. Przeciwnie taki system zabiłby wolę, tworzył automaty, mechanizmy, które nie umiałyby się zdobyć na własny, samodzielny krok. Wyłożone środki kształcenia zawierają w sobie konieczność zostawienia swobody dziecku, samodzielności. Chodzi tu n i e o ciągłe kierowanie każdą czynnością dziecka, ale o stawianie pewnych wymagań odnośnie czynności, które muszą być przez dziecko wykonane. Poza tymi pewnymi wymaganiami trzeba dziecku zostawiać swobodę, oczywiście w granicach, zakreślonych wiekiem dziecka i warunkami otoczenia.

Reasumując: to o czym mówiłam, to są metody postępowania, kształtowania woli, środki; zaś czynnikiem decydującym, zasadniczym, jak zawsze we wszelkich poczynaniach wychowawczych, tak i tu jest o s o b o w o ś ć wychowawcy, j e g o p o s t a w a spokojna — stanowcza, silna a łagodna. Konsekwencje postępowania, autorytet ugruntowany na wartości wewnętrznej, a nie zdobywany — czynnikiem zewnętrznym.

Maria Kiernikowa.

ZAGADNIENIE SELEKCJI KANDYDATÓW DO LICEÓW.

Ustawa o ustroju szkolnictwa z r. 1932 stawia szkolnictwu polskiemu jako jedno z naczelnych zadań, że ma z d o l n i e j s z y m i d z i e l n i e j s z y m jednostkom ze w s z y s t k i c h ś r o d o w i s k umożliwić osiągnięcie najwyższych szczebli naukowego i zawodowego wykształcenia. Wyraźnie zatem określa, że tylko część młodzieży, a mianowicie jej u m y s ł o w a i m o r a l n a e l i t a winna być dopuszczona do studiów wyższych. Ta zasada doboru najlepszych i najzdolniejszych jest nicią przewodnią ustawy.

Trzy razy w ciągu nauki szkolnej staje młodzież przed wyborem między szkołą zawodową a ogólnokształcącą; po pierwszym szczeblu szkoły powszechnej (tj. po 4-tej klasie), po drugim (tj. po 6-tym roku nauki) i po ukończeniu gimnazjum. Szkoła zaś średnia dwukrotnie ma możność zbadania i zakwalifikowania młodzieży, czy się nadaje do tego szczebla szkolnictwa oraz do wyeliminowania tych, którzy nie będą mogli sprostać jej wymaganiom.

Ponieważ jednym z głównych zadań liceum ogólnokształcącego jest, obok wyrobienia światopoglądu i pogłębienia zrozumienia obowiązków obywatelskich, przygotowanie uczniów do studiów akademickich, musi so-

bie ono dobrać taką młodzież, którą wrodzone uzdolnienie i zamiłowania kwalifikują do studiów akademickich.

Podstawą zatem doboru winno być nie tyle to, co młodzież „w i e i u m i e”, ale przede wszystkim to, „c o p o t r a f i”, a więc nie tyle ilość zdobytych już wiadomości, ale jakość jej możliwości, jej zdolności, zainteresowań i zamiłowań.

Ponieważ diagnoza jakości uzdolnień nie jest łatwą i rzadko da się przeprowadzić na krótkim egzaminie, gdyż wymaga dłuższych badań i obserwacji, — dlatego bardzo ważną jest opinia szkoły, z której uczeń wychodzi. Winna być ona poparta przeprowadzonymi w czasie pobytu ucznia w szkole badaniami fachowego psychologa. Badania te muszą iść w kierunku nie tyle inteligencji, ile uzdolnień i istotnych zamiłowań, a przeprowadzane przez czas dłuższy zbiorowo i indywidualnie, nie w gorączkowym okresie samego egzaminu, lecz w czasie roku szkolnego, dać mogą dopiero wartościowy materiał. Trzecią dopiero fazą kwalifikowania ucznia do liceum winien być egzamin.

Sam fakt, że uczeń i jego rodzice wybierają ten lub inny typ liceum nie jest wcale miarą jego istotnych zdolności i zamiłowań. Działa tu cały szereg i r r a c j o n a l n y c h pobudek. Jedną z nich jest np. „przywiązanie do szkoły”, którą uczeń ukończył. Jest to czasem istotne przywiązanie do nauczycieli, uznanie dla ich umysłowych i moralnych wartości, do atmosfery szkoły, lecz jakże często jest to raczej bierność, obawa przed nowym, nieznanym, przed zmianą warunków.

Namowa lub przykład kolegów, dokonany już wybór przez przyjaciół, kwalifikowanie przez środowisko pewnych typów szkoły jako wyższe (np. licea ogólnokształcące od zawodowych), przyzwyczajenie szerokich sfer społecznych przez szereg lat do pewnych typów szkoły (w jednych połaciach kraju do szkoły klasycznej, w innych do humanistycznej), obawy przed trudnością egzaminu, a wreszcie owczy pęd, po prostu moda, uzasadniona chwilową koniunkturą. Tak np. obecnie jest bardzo wielki napływ młodzieży męskiej do liceów matematyczno - fizycznych, bo „brak jest inżynierów”.

Sam egzamin, a więc dobór przedmiotów egzaminacyjnych, a nawet — jeśli egzamin odbywa się w szkole, którą uczeń zna — dobór egzaminatorów, decyduje o przyszłości młodzieńca. Do liceum humanistycznego pytają z łaciny, do matematycznego z matematyki — ten profesor jest bardzo wymagający, tamten jest łagodniejszy — to wszystko arcy ważne motywy przy decydowaniu o swoim losie. Młodzież uznała typ przyrodniczy za najłatwiejszy i ciśnie się do niego masowo, choć ich profesor przyrodnik nie zauważył dotychczas tych „wielkich zainteresowań” ani wybitnych postępów w samym przedmiocie, Utarło się ponadto przekonanie, że przed absolwentami tego typu otwierają się najszersze możliwości w wyborze szkoły wyższej, choć dotychczas nie mamy żadnych podstaw do twierdze-

nia, by ukończenie tego lub innego typu szkoły ogólnokształcącej dawało jakieś przywileje przy wstępowaniu do szkół akademickich.

Oczywiście zawsze znajdzie się grupa młodzieży zdolnej, wyrobionej, która wybierze z całą świadomością typ szkoły, zawsze jednak więcej jest średnich niż wybitnych i tym przede wszystkim trzeba pomóc. Są ponadto jednostki, których zamiłowania budzą się późno, którym warunki w jakich wzrastali nie zawsze pozwoliły na uświadomienie sobie swej właściwej drogi. Przypomnijmy sobie, ile mamy młodzieży akademickiej, która przerzuca się z wydziału na wydział, nieraz o wręcz przeciwnym kierunku studiów, nim znajdzie swą właściwą drogę. A bywają wśród tych nieraz jednostki wybitne, które po tych długich wahaniach, znalazłszy właściwy kierunek, zdobywają sobie nieraz poważne imię w nauce.

Wynik badań psychologicznych, opinia wychowawców w tych wypadkach, gdy zamiłowania nie są uświadomione jeszcze, może być tak dla ucznia jak i jego rodziny cennym drogowskazem. Dodatnie stopnie uzyskiwane przez ucznia w kursie gimnazjalnym nie są jeszcze dowodem jego uzdolnienia większego do tych lub innych przedmiotów. Praktyczny i elementarny program wielu przedmiotów w kursie gimnazjalnym pozwalał często młodzieży pilnej, starannej, uważnej uzyskiwać dodatnie stopnie np. z matematyki lub fizyki, mimo słabych uzdolnień do abstrakcyjnego myślenia, stąd tak liczne załamania i zawody w liceum. Młodzież o inteligencji praktycznej, która mogłaby być wybitnymi fachowcami, znalazła się niepotrzebnie na drodze wykształcenia teoretycznego, które wcale nie odpowiada jej psychice, dlatego się męczy, jest „przeciążona" w liceum, zniechęca się do pracy, która przerasta jej możliwości.

Różnica w sposobie ujmowania zagadnień na poziom liceum ogólnokształcącego a gimnazjum jest dziś dużo większa, niż między dawną 6-tą a 7-mą klasą gimnazjum, a przecież i dawniej tak wielki procent młodzieży nie mógł podołać wymaganiom wyższych klas gimnazjalnych, chociaż dobrze dawali sobie radę w klasach niższych.

Wiemy ze statystyk, że ponad 40% młodzieży nie kończyło gimnazjum. Byli wśród nich oczywiście i tacy, którym brak środków materialnych stawał na przeszkodzie, lecz większość nie miała na to dostatecznych sił intelektualnych. I masy te wchodziły w życie do niego nieprzygotowane; dziś natomiast, mając świadectwo ukończenia gimnazjum, uzyskawszy całokształt wykształcenia ogólnego — choć w skromnym zakresie — mogą w liceum zawodowym w przeciągu dwu lub trzech lat zdobyć fachowe przygotowanie do zawodu, a nie szukać bezskutecznie nędznie płatnej „jakiejś posady".

Życie i statystyki szkół wyższych pouczają nas dalej o tym, jakie tysiące młodzieży znajduje się niepotrzebnie, bez istotnej dla siebie korzyści w szkołach akademickich. Wszak ledwo kilkanaście procent młodzieży kończy i uzyskuje dyplomy. Całe falangi znalazły się tam niepotrzebnie, gdyż

albo nie mają potrzebnych zdolności, albo zamiłowania i zainteresowania do nauki. Przepychani z roku na rok przy pomocy korepetytorów z klasy do klasy lub przez tak zw. „przysiadanie fałdów" w ostatnim okresie roku szkolnego, nie mogą i nie umieją pracować samodzielnie, zwłaszcza gdy nie ma nad nimi grozy, że mogą być „wyrwani" i dostać dwóję, gdy nie przygotowują lekcji. Dla zwyczaju, mody, dla zaspokojenia ambicji swojej lub rodziców zapisuje się taki młodzieniec czy dziewczyna na uniwersytet, tracąc niepotrzebnie szereg lat, narażając rodzinę na znaczne, nieprodukcyjne wydatki, a budżet państwa obciążając niepotrzebnymi ekspensami na dublowanie katedr, asystentur, rozszerzanie zakładów naukowych itd. Czy nie dużo korzystniej i celowiej byłoby skierować te zastępy chłopców i dziewcząt odrazu na drogę praktyczną, przygotować ich do pracy zawodowej, a nie rozbudzać w nich fałszywych ambicji i nadziei, które robią z nich potem malkontentów życiowych, rozczarownych do życia, nim je naprawdę zaczęli?

Przekonaliśmy się dziś już chyba wszyscy, że „matura" nie zapewnia młodzieży szczęścia a nawet posady, nie jest tym kluczem, który wszystko przed nią otwiera jak się to łudzono jeszcze przed kilku laty — że dziś znaczy więcej zdobyty fach, przygotowanie do tej pracy, po którą się sięga, zamiłowanie i istotne do tej pracy uzdolnienie.

Niechże więc rodzice tej młodzieży, która wkrótce otrzyma dyplom ukończenia gimnazjum, poważnie i głęboko rozważą, do jakiego dalszego kształcenia ich dziecko ma naprawdę kwalifikacje, niech się tu kierują i radą nauczycieli, i opinią psychologa, i istotnymi zamiłowaniami dziecka, a nie tylu i tak licznymi nieistotnymi motywami, jak to było dotychczas.

Praktyka nas uczy, że i u nas wybijają się często w życiu nie tylko ludzie z wysokimi dyplomami, ale zdolni i na właściwym stojący stanowisku.

Ankieta wypełniona przez ponad 150 dyrektorów szkół średnich, obserwacje instruktorów ministerialnych, z których każdy zwizytował kilkadziesiąt liceów, stwierdzają, że w niektórych liceach ledwo 30%, w najlepszych wypadkach tylko 60% uczniów liceów ogólnokształcących odpowiada wymaganiom i poziomowi szkoły licealnej, większość znalazła się tam przez nieporozumienie. Oby w latach przyszłych tych nieporozumień było jak najmniej! Liceum ogólnokształcące jest szkołą dla wielu bardzo trudną i taką być musi, jeżeli ma dać szkole wyższej dobrze przygotowaną młodzież.

Przyjaciołom oraz życzliwym czytelnikom „Rodziny i Dziecka", którzy zechcą łaskawie podczas wakacji zająć się propagandą czasopisma, przesyłamy żądaną ilość bezpłatnych okazowych egzemplarzy.

Dr Róża Czaplińska.

DZIECKO ŹLE KOCHANE.

Mówimy często, że dziecko przynosi z sobą na świat swój los. Mówimy dużo o dziedziczności i na jej karb chętnie składamy wszystkie jakoby wrodzone wady dziecka. Mniej chętnie mówimy i słyszymy o tym, że sami naszym postępowaniem przyczyniamy się do losu dziecka, że sami mu różne cechy zaszczepiamy, że nasz stosunek do dziecka stanowi często później o całym jego życiu.

A różny bywa los dziecka! I nie bez znaczenia jest fakt, czy rodzące się maleństwo staje się ośrodkiem rodziny, czy poniewiera się po kątach, lub staje się numerem w przytułku. Jedno niemowlę to dzidziuś, każdy jego krzyk przywołuje do łóżeczka matkę, ojca, babcię, nianię, każdy wybuch niezadowolenia jest natychmiast utulany, każdy ruch, uśmiech, dźwięk witany zachwytem i pieszczotą. Inne dziecko to bachor, który po dniu pełnym pracy i kłopotów wyspać się nie daje, na jego krzyki otoczenie odpowiada klapsem zamiast czułym pieszczotliwym słówkiem, pochylają się nad nim obojętne lub nachmurzone twarze, nikt nie wita uśmiechem jego pierwszego uśmiechu, jego nieporadnego gaworzenia. Jedno dziecko staje się ośrodkiem wszystkich nadziei, inne urodzeniem swym krzyżuje plany rodzicom. Cóż mówić o dzieciach, których urodzenie hańbę przynosi.

Powiedzą czytelnicy, że to są przypadki krańcowe, nieodpowiadające przy tym tematowi — boć te pierwsze dzieci to przecież dzieci kochane, a te drugie — niekochane. Powie mi ktoś jeszcze, że takie dziecko, na którego urodzenie rodzice z początku patrzeli niechętnie, staje się często później również ukochane. Które dzieci są więc źle kochane?

Zacznijmy od tego upragnionego, z którego urodzeniem wiąże się tyle radości i nadziei. Kochane jest niewątpliwie, ale czy ta miłość zawsze mu na dobro wychodzi? Młoda mamusia czytała wprawdzie różne podręczniki o wychowaniu niemowląt i stara się postępować według ich wskazówek, według rad lekarza; więc dziecko jest karmione co do minuty, leży spokojnie nieruszane w łóżeczku, nie wolno go pocałować, bo przecież można je zarazić... aż do pierwszej niedyspozycji, do bólu brzuszka w nocy, do pierwszego dłuższego krzyku. Wtedy wszystkie rozsądne rady idą spać. Mamusi żal dziecka, zaczyna się noszenie na rękach, uspakajanie, tulenie — raz, drugi i trzeci. Przyjemnie też popieścić się ze swoim własnym bobusiem, zresztą zawsze gotowa jest wymówka: przecież takiego małego dziecka nie popsuję, ono jeszcze nic nie rozumie, później będzie czas na karność. Ale choć dzidziuś jeszcze nic nie rozumie, czuje doskonale swą władzę, bardzo prędko uczy się przywoływać swym wrzaskiem mamę, babcię, nianię, żąda pieszczot, noszenia, zajmowania się nim. Z małego pieszczocha wyrasta ty-

ran domowy, despota, który rządzi całym otoczeniem. Czyż to dziecko nie jest źle kochane?

Gdy mały pieszczoszek podrasta, różnie się z nim dzieje. Najczęściej rozpieszczany jest nadal, wszystko się na nim koncentruje, wszystko się dla niego robi i poświęca. Nie ma nic dlań zbyt dobrego, zbyt drogiego, bez względu na warunki materialne rodziców. Ono jest najlepsze, najmądrzejsze, najpiękniejsze, ono najwięcej umie. W tej wierze dziecko wzrasta, aż przychodzi moment bolesnego rozczarowania. Najczęściej w szkole przekonuje się, że inne dzieci są od niego mądrzejsze, że więcej umieją, że są bardziej od niego chwalone, że ono wcale nie jest w klasie ośrodkiem wszystkiego jak w domu. Często jest wyśmiewane przez inne dzieci, jako niezdara, mamusiny synek, który nic nie potrafi zrobić, jako chwalipięta. Na tle tych bolesnych przeżyć występują często nawet objawy nerwowe, że przytoczę tak częste u rozpieszczonych jedynaków wymioty poranne przed pójściem do szkoły. Czyż nie sprawiła tego bezrozumna miłość rodzicielska, która w zaślepieniu swym nie potrafiła przygotować dziecka do życia, lecz stworzyła koło niego jakąś sztuczną, cieplarnianą atmosferę. Dobrze, jeśli choć w takim momencie rodzice przejrzą. Ale ileż to razy reakcja rodziców zwraca się nie przeciw ich własnemu postępowaniu, lecz przeciw światu, który chce skrzywdzić ich ukochanie; zaczyna się pocieszanie i uspakajanie, „ty jesteś mój synuś ukochany, a tamte dzieci są złe, niedobre, nic sobie z nich nie rób". Zaczyna się walka z rzekomą niesprawiedliwością nauczycieli, którzy nie poznają się na dziecku. Jakąż krzywdę tym dzieciom robią ich kochający rodzice.

Istnieje inny typ rodziców, również ubóstwiających dziecko, ale postępujących wręcz odmiennie. O ile do pierwszej kategorii rodziców słabych, ulegających dziecku i swej miłości dla niego, należą przeważnie matki, o tyle typ drugi reprezentowany jest raczej przez ojców. I oni pokładają wszystkie swe nadzieje w dzieciach. Niejeden ojciec, któremu nie spełniły się jego własne marzenia, chce je teraz urzeczywistnić w dziecku, chce mu dać większe szanse życiowe, niż sam je miał, chce by ono było lepsze, mądrzejsze, piękniejsze, niż on sam. On nie mógł studiować, za to jego dziecko musi być pierwszym uczniem, od maleństwa chlubnie zacząć karierę życiową. On nie mógł poświęcać się sportom, za to jego chłopiec musi być odważny, piękny, dzielny. żąda od dziecka, by ono stało się wcieleniem jego marzeń i ideałów. Cóż, kiedy dziecko właśnie średnio albo wręcz źle się uczy, albo jest tchórzliwe, ucieka od sportów. I tak jak mamusia zwykła składać całą winę na nauczycieli, którzy nie umieją się poznać na jej pieszczoszku, tak tatuś grzmi na lenistwo dziecka, na brak chęci, całą winę jemu przypisuje. A może dziecko jest chorowite, słabe, może jest niezdolne. Ale ojcu trudno jest uwierzyć w brak zdolności swego potomka, to się nie godzi z jego ambicjami. On kocha swe dziecko, gotów dla niego na wszystko, na więcej, niż może, poświęcenia dla dziecka przerastają często wszy-

stkie jego środki, ale dziecko też musi dać ze siebie wszystko. Ojciec wierzy, i często to mówi, że dziecko gdyby chciało, toby potrafiło wszystko — słyszy się to często nawet z ust rodziców dzieci niedorozwiniętych. Taki ambitny ojciec nie liczy się ani z siłami dziecka, ani z jego wiekiem i naturalnymi potrzebami, żąda by dziecko „robiło postępy", by korzystało z danych mu możliwości, a kiedyś będzie mu za to wdzięczne. Przecież czyni on to wszystko nie dla siebie, ale w imię miłości dla dziecka. Jakże źle pojęta jest ta miłość.

Tacy rodzice właściwie nie kochają dziecka dla niego samego, kochają je dla siebie. Tak jak dla siebie kochą dziecko matka, która twierdzi, że ono jest dla niej wszystkim, że ono jej wszystko w życiu zastępuje, że ono jest dla niej życiem. Taki stosunek najczęściej spotykamy u kobiet wcześnie owdowiałych, rozwiedzionych lub nieszczęśliwych w pożyciu małżeńskim, a nie mających własnych zainteresowań, bogatszego życia osobistego. Taka kobieta wyżywa się wtedy całkowicie w stosunku do swego własnego dziecka, które rzeczywiście staje się dla niej wszystkim; musi ono być dla niej nie tylko dzieckiem, ale ma jej zastąpić również miłość męża. Życie dziecka staje się życiem matki — w zamian za miłość, pieszczoty ma ono dostarczyć jej całej czułości, której matka pragnie, a jest pozbawiona z innej strony. Pozbawiona przyjaźni szuka ona powiernika w dziecku. Jakże często dzieci o wiele za wcześnie dowiadują się o różnych przeżyciach, jak często obarczane są troskami nad ich siły, jak często wysłuchiwać muszą skarg na świat, ludzi i życie. Taka matka nie zdając sobie sprawy, jaką krzywdę czyni dziecku, z dumą opowiada, że ma w swym dziecku przyjaciela i powiernika, że ono jest jej prawdziwą podporą. Nie myśli o tym, że dziecko przedwcześnie traci swą naiwność, że nie powinno jeszcze być jej podporą, że zbyt słabe dla takiej roli, może zgiąć się i wykoszlawić.

Nie trzeba chyba wcale mówić, jak niezdrowy jest taki przeczulony stosunek, choć wzruszający pozorami przywiązania. Niezdrowy jest i ze względu na nadmiar czułości i na niewłaściwy jej charakter, i na zbytnie związanie dziecka z matką. Związanie to w dzieciństwie odbija się szkodliwie na samodzielności dziecka, w życiu dorosłego może często zgubnie zaważyć na jego losach. Bo jakże oderwać się od matki i iść swą własną drogą, gdy matka całe swe życie poświęciła, gdy nie ma ona nic poza swym dzieckiem.

Zły jest nadmiar czułości i przywiązania. Ale również zły jest ich brak. Pedagogom i psychologom zajmującym się maleńkimi dziećmi dobrze znany jest fakt, że niemowlęta wychowywane w zakładach później się rozwijają, później zaczynają mówić, aniżeli dzieci chowane w rodzinie. Brak kontaktu społecznego, zaniedbywanie dziecka odbija się na jego rozwoju. Nie wystarcza, że dziecko jest w porę nakarmione i przewinięte, potrzebny mu jest jeszcze uśmiech osoby dorosłej, na który ono nauczy się odpowia-

dać uśmiechem. Dzieci chowane bez miłości stają się lękliwe, nieufne, nieśmiałe, zahukane albo też złośliwe, agresywne. Zwykliśmy te cechy uważać za wrodzone cechy charakteru. Tymczasem często wystarczy takie dziecko przenieść do innego środowiska, otoczyć je czułością, by te rzekome złe wrodzone cechy charakteru ustąpiły miejsca łagodności i ufności dziecęcej. Często można takie zjawisko zaobserwować na dzieciach z przytułku, zaadoptowanych przez rodzinę. Ale dzieci w przytułku, dzieci zaniedbane to dzieci niekochane, nic więc dziwnego, że brak im miłości. Czy jednak wszystkie dzieci kochane otoczone są czułością? Są rodziny, w których surowość jest tradycją, wychowanie oparte jest na autorytecie i szacunku, a nie na pieszczotach. Dzieci mają wszystko czego im potrzeba, mają radę i pomoc rodziców, wiedzą, że są kochane, ale tylko wiedzą, a nie czują.

Są rodzice, którzy widząc zgubne skutki rozpieszczania dzieci, postanawiają sami takiego błędu nie popełniać i wcale swych dzieci nie pieszczą. Ale dziecku wcale nie wystarcza sama świadomość, że jest kochane, za małe jest zresztą, żeby zrozumieć, na czym polega miłość, ono musi tę miłość czuć. Małe dziecko nie potrafi ocenić tego, że matka dla niego się zapracowuje, szczęśliwe jest wtedy, gdy zachoruje i mamusia siedzi przy jego łóżeczku, bawi się z nim, trzyma je za rączkę, całuje. Niejeden raz słyszałam taką wypowiedź z ust małych dzieci: „mnie tylko wtedy kochają, kiedy jestem chory". To też dziecko, które odczuwa brak miłości, które tęskni za pieszczotą, często marzy o chorobie, gdy znów będzie pieszczone, marzy nawet o śmierci, gdyż wtedy rodzice będą je opłakiwali i czule wspominali. Takie dziecko albo zamknie się w sobie, zbyt wcześnie zacznie przeżywać uczucie samotności, albo będzie szukało czułości gdzieindziej. Do szkoły przychodzą czasem małe dzieci cichutkie i nieśmiałe, które garną się do nauczycielki, szczęśliwe z każdej pochwały, z każdego pogłaskania po główce; powolutku rozgrzewają się, jakby odtajały i wtedy okazuje się, że są to dzieci dobre, czułe, ufne. Gdy rozmawiać z ich matkami, wyrażają one zdziwienie, czasem żal, że szkoła zabrała miłość dziecka, że garnie się ono do obcych a odsuwa od domu, i nie umieją zrozumieć, że dziecko szuka miłości, której w domu nie znajduje. Jak to, przecież kochają swe dzieci, tylko ich nie rozpieszczają... Nikt nie wątpi, że te dzieci są kochane, one są tylko źle kochane. Trzeba umieć odróżnić rozpieszczanie od pozbawienia dziecka czułości, która mu jest koniecznie do życia potrzebna.

Z tego co dziecku jest potrzebne, rodzice nie zawsze umieją sobie zdać sprawę. Miłość przeszkadza obiektywnemu spojrzeniu na dziecko i na jego potrzeby. Stąd płynie przecenianie dzieci i zbytnie wymagania, o których mówiliśmy, stąd uleganie nie potrzebom, ale zachciankom i kaprysom — równie szkodliwe. Często nawet wtedy, gdy rodzice zdają sobie sprawę z potrzeb dziecka, nie umieją się zdobyć na ich zaspokojenie, o ile to koliduje z ich miłością. Więc nie potrafią się rozstać z dzieckiem, choć tego

wymaga jego zdrowie, jego wychowanie, nie potrafią zrobić przykrości dziecku, choćby to było dla jego dobra. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność, przykłady miłości, ale miłości szkodliwej, źle pojętej. Jedna jest na to rada — usiłować podejść do własnego dziecka możliwie obiektywnie, i liczyć się nie ze swoją własną miłością, ale z tym, co może być dobre dla niego.

Ewa Małachowska

„Po obu stronach frontu".

(dokończenie)

A te wakacje nauczycielskie? Urzędnicy zazdroszczą: — „tym to dobrze, mają dwa miesiące odpoczynku, a jeszcze Boże Narodzenie!" nie zdają sobie jednak sprawy, jak bardzo ten odpoczynek jest zasłużony. Praca nad żywym, ruchliwym materiałem dziecięcym spala bardziej, niż nad milczącymi papierami. Myśl nauczyciela należała do szkoły poza godzinami lekcyjnymi. Minie może parę tygodni, zanim wyjdzie z jej orbity i zacznie wypoczywać. Zresztą te „wielkie wakacje" nie są tak wielkie dla ciała profesorskiego, jak dla uczniów. Egzamin przed wakacjami i po wakacjach, wykańczanie prac rocznych itp. zajmują sporo czasu, odpoczynek trwa około sześciu tygodni. Musi wówczas przyjść do równowagi wyczerpany organizm, umysł, nerwy, które są przecież tak bardzo znużone — stałe napięcie woli w czasie lekcji musi wywołać reakcję.

Dla dobra młodzieży rodzice powinni wczuć się w przeżycia wykładających — a czy ułatwiają im pracę? Często wręcz przeciwnie — to, co dzieci słyszą w domu, czyni wszelkie wysiłki próżnymi. Przecież dziś jeszcze mamusia w obecności córki potrafi wygłosić zdanie: „na co jej ta łacina, albo ta matematyka"... — Naturalnie na nic, tylko winna jest mamusia, która niewłaściwie umieściła swą córeczkę. Biedny nauczyciel z tym większą trudnością wbija w jej oporną głowę deklinacje, czy logarytmy.

Nauczyciele i rodzice znają się bardzo mało. Pierwsi powinni zrozumieć środowisko, z którego pochodzi uczeń i dążyć do tego, by przebić mur obojętności ze strony domu, drudzy powinni zadać sobie trud, by lepiej pojąć rodzaj pracy i bezstronnie zapoznać się z właściwościami tych, pod których kierunkiem tyle czasu spędzają dzieci, wówczas ocena wypadnie słuszna.

Gdy nastąpi owo obustronne poznanie, uniknie się może wówczas wielu nieporozumień i pomyłek, które nie są pożyteczne dla młodzieży.

W pewnej szkole miał miejsce fakt następujący. W tej samej klasie uczyły się dwie dziewczynki wręcz odmienne. Jedna wielka, tęga, opryskliwa i niegrzeczna dla nauczycieli, druga wątła, anemiczna, uprzejma i zahukana. O ile dziewczynki różniły się między sobą, o tyle ojcowie byli podobni. Obaj lekarze, o podobnej tuszy, manierach i czuprynach. Na wywiadówce wychowawczyni wmawiała w ojca owej bujnej, rozrosłej dziewczyny, iż powinien zwrócić uwagę na mizerny wygląd i nadmierną nieśmiałość córki. Biedny doktór zdumiewał się — jak wielkiej odwagi, jakiego stopnia arogancji wymaga się tu od uczennic.

Dlatego, aby takich nieporozumień uniknąć, rodzice muszą zbliżyć się do szkoły, dadzą wiele cennego materiału wychowawcom dla poznania młodzie-

ży, z drugiej zaś strony ocenią sami i pomogą dzieciom ocenić należycie wykładowców.

W sądach o nauczycielach nie można opierać się wyłącznie na niewyrobionym zdaniu dzieci, należy lepiej poznać i zrozumieć motywy postępowania. następnie wytłumaczyć je młodzieży skłonnej do zbyt pochopnych zachwytów lub potępienia.

Nie można patrzeć na szkołę jedynie pod kątem widzenia swego syna czy córki, trzeba ogarniać całość, w nauczycielach nie widzieć bezdusznych maszyn, które wkładają wymagane wiadomości w głowy dzieci, lecz ludzi, bynajmniej nie świętych, posiadających wszelkie ludzkie wady, często bardzo zmęczonych, przepracowanych, którzy z bohaterskim wysiłkiem starają się utrzymać równowagę, pogodę i wesoły nastrój. A kto wie, ile osobistych zmartwień, niepokoju o chorych zostawionych w domu musi opanować nauczyciel, by zachować twarz niezmąconą. Trzeba ukryć kłopoty materialne, ubranie nie może świecić, suknia razić wyostrzony wzrok uczennic, przecież podchwycą odrazu każdy szczegół stroju.

Rodzice lepiej od dzieci mogą zrozumieć rozdrażnienie pedagoga, który chciałby oprzeć stosunek z młodzieżą na wzajemnym zaufaniu, a musi zamiast tego wciąż baczyć, by nie popełniła tego, co my starsi uważamy za zwykłą nieuczciwość, by nie oszukiwała. Wiemy, iż uczniowska etyka różni się od bezwzględnej, nie można jednak tolerować przepisywania od kolegów, podpowiadania itd., chociaż by dlatego, aby uczeń uczył się polegać sam na sobie. Ojcowie utrudniają często zadanie szkoły, gdy opowiadają nieodpowiednim słuchaczom o psikusach, jakie płatali profesorom. Są to pozornie niewinne żarty, nauczyciel jednak musi zwalczać złośliwość, wyraźną niekarność, czy chęć oszukiwania, bo gromada składająca się z kilkuset dzieci musi być ujęta w silną, opartą na moralnych podstawach organizację.

Rodzice powinni interweniować, o ile zauważą niesłuszne postępowanie nauczyciela, winni to jednak robić z rozwagą, nie opierając się na plotkach i stronniczych zdaniach, lecz starając się głębiej zrozumieć motywy i cele czynu. Wówczas może nastąpić zbliżenie między wychowawcami a młodzieżą, tak bardzo dla jej dobra potrzebne. W domu powinno być takie nastawienie, aby dzieci nauczyły się należycie oceniać wartości. Dziewczynka nie powinna przesiąknąć atmosferą wulgarności czy snobizmu do tego stopnia, by się wyśmiewać ze staruszki nauczycielki z powodu jej niemodnych śniegowców, lub zachwycać się młodą nauczycielką tylko dlatego, że ślicznie umie dobierać szczegóły toalety.

Dla młodzieży będzie korzystniej, kiedy wychowawca zrozumie, że ze strony domu ma pomoc w swoich zamierzeniach i że z obu stron jest dobra wola dla wzajemnego zrozumienia się. Słyszałam zdanie, że zdarza się, iż ojciec z drżącymi kolanami zbliża się do nauczyciela podczas wywiadówki by dowiedzieć się o postępach syna. Uniknąłby może tego strasznego momentu, gdyby był w stałym kontakcie ze szkołą, poinformował o właściwościach swego syna w domu i dowiedział się, jak się przedstawia w klasie.

Są szkoły, w których ta pomoc wzajemna istnieje, zdaje się jednak, że jest ich niewiele. Źle się też odbija na młodzieży, gdy nauczyciel część sił, które powinien jej poświęcić, traci nieprodukcyjnie na przełamanie niechętnej postawy domu.

Dla dobra dzieci można się postarać o ulżenie w pracy szkoły. Są takie dziedziny, w których pomoc rodziców będzie pożądana i owocna. Może się zdarzyć, że nauczyciel wówczas, gdy nie będzie miał pamięci i uwagi obciążonej tysiącem zarówno ważnych, wielkich spraw jak i małoznacznych drobiazgów,

z większym skupieniem będzie pracować na lekcjach i jaśniejszym wzrokiem dojrzy prawdziwe życie.

Nie chodzi o pomoc pozorną, gdyż taka tylko zawadza. Matki podejmują się pełnienia pewnych funkcji w szkole, w świetlicach, na wycieczkach, zabawach itp. O ile jednak nie są odpowiednio przygotowane i nie zdają sobie sprawy z trudności związanych z danymi pracami, wpływają raczej dezorganizacyjnie i tamują normalny ich rozwój. Nic też dziwnego, że szkoła patrzy często niechętnie na oszołomione i nieumiejętne pomocnice, które pomimo najlepszych chęci markują tylko robotę. Często wpatrzone w swej dzieci, nie są w stanie ogarnąć całości.

O ile rodzice chcą podjąć się pewnych zadań na terenie szkoły, to powinni traktować to jako poważny obowiązek. Przy zetknięciu się z masą młodzieży zrozumieją dopiero trudności płynące z konieczności opanowania tego ruchliwego żywiołu, zachowania należytej postawy, zrozumieją jak bardzo zmęczony jest nauczyciel i nie będą utrudniać mu pracy przez często nierzeczowe pretensje. Zrozumieją może, iż większość nauczycieli ma jak najlepszą wolę przy spełnianiu swych obowiązków, tak ciężkich, iż podołać im może tylko ten, kto uczuwa prawdziwą miłość do młodzieży i zdaje sobie sprawę z tego, iż zgodnie ze swym przekonaniem wychowuje przyszłych obywateli państwa.

Nie obgadujmy więc wraz z dziećmi ich szkolnych wychowawców, lecz przeciwnie, starajmy się budzić do nich zaufanie i podnosić autorytet. To, co uważamy za niesłuszne w ich postępowaniu, podnosimy po rozwadze we właściwym czasie i właściwym miejscu. A o ile zmienić zła nie możemy, to musimy postarać się o przeniesienie dzieci do szkoły, gdzie będą miały odpowiadający nam kierunek. Najgorzej jest o ile dziecko zmuszone jest do grania dwoistej roli w domu i w szkole i nie ufa tym, pod czyją opieką pozostaje przez tyle godzin.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Dyskusja w sprawie artykułu B. Wasylewskiego „Kto ma organizować wczasy młodzieży" w Nr. 4-ym „Rodziny i Dziecka".

Kto ma organizować wczasy młodzieży? Jest to bardzo ciekawe i bardzo doniosłe zagadnienie wychowawcze. Ryczałtowo chyba nie można na to pytanie odpowiedzieć, bo wszystko zależy z jakiego środowiska jest młodzież, o którą nam będzie chodziło. Czasem są takie warunki — ciasne, przeludnione mieszkanie, nieodpowiednia atmosfera w domu w postaci kłótni, awantur itd. — że lepiej stanowczo, gdy dziecko sobie pójdzie „z domu" i spędzi czas w świetlicy. I nie zawsze za to można winić rodziców, że dziecko ma nienormalne warunki w domu. Świetlica daje tym dzieciom przytułek, a szkoła czy organizacja, która ją urządziła, nie odrywa dziecka od rodziny, ale umożliwia mu zgodne z wymaganiami jego wieku i rozwoju pożyteczne spędzenie czasu. A jeżeli chodzi o te warcaby, przytoczone przez starszego pana w dyskusji, to przyznać musimy, że i nie każdy dom je posiada, i że czasem nie ma nawet stolika, na którym by można je rozłożyć, i nie ma miejsca wogóle na takie rozrywki itd.

Poza złymi warunkami domowymi inna okoliczność przemawiająca za tym, aby młodzież spędzała jednak część wczasów w świetlicach, w gronie rówieśników to kwestia wychowania jedynaków. Jedynak chce pójść pomiędzy ludzi. Znamy dobrze skutki wychowania dziecka tylko przy rodzicach. W najlepszym wypadku wyrasta dziecko zżyte z rodzicami, pracowite, sumienne, rodzice wpa-

jają w nie własne ideały, aby stworzyć doskonałość. Wytwarza się typ dodatni wprawdzie, ale nie przystosowany do współżycia z ludźmi. Często taki typ pod pozorną zarozumiałością ukrywa wielką nieśmiałość, czuje się odgrodzony od kolegów, obcy. Koledzy cenią go, ale unikają, bo jest zbyt doskonały dla nich; chłopak jest samotny, czuje lęk w stosunku do ludzi, instynktownie a bez potrzeby przyjmuje obronną pozycję. Nie ma zaufania do świata, a tajemnica przyjaźni ludzkiej to wyciągnięte ręce do ludzi, zainteresowanie się drugimi.

Kiedy taki człowiek dorasta, przychodzi refleksja co dał mu dom? Odgrodził go od ludzi. Może i tak byłby trudny we współżyciu, ale zapewne nie w tym stopniu. Co do mnie, to wolę, żeby moje dziecko pobłądziło, ale żeby żyło z innymi ludźmi i w ich kręgu hartowało się moralnie.

Nie walczę ze świetlicą, bo świetlica uczy współżycia, do którego człowieka trzeba wychowywać od dzieciństwa.

Z. P.

*

Czy świetlica i rozrywki zbiorowe młodzieży zagrażają życiu rodziny? Sądzę, że nie można powiedzieć na całej linii *tak* lub *nie*, prawda jest, jak zazwyczaj bywa w każdym zagadnieniu, po środku, a od tych, którzy kierują wychowaniem młodzieży, zależy ku której stronie ten środek przechylić, powodując się jakością warunków środowiska młodzieży i właściwościami psychicznymi danego typu dziecka czy młodzieńca.

Weźmy np. sytuację taką, kiedy oboje rodzice pracują nie tylko w godzinach rannych, kiedy młodzież jest w szkole, ale i po obiedzie i wtedy dzieci zostają same w domu, w którym jest tylko służąca. Wobec tego, że nasze pracownice domowe mają dotychczas przeważnie dość niski poziom kultury (nie jest to ich winą), często rekrutują się z zupełnie nieoświeconych dziewcząt wiejskich — i to jeszcze pół biedy — lub z perwersyjnie uświadomionych przez zepsucie wielkiego miasta, rozwydrzonych pod względem erotycznym typów — towarzystwo takie podczas nieobecności obojga rodziców w domu przedstawia duże niebezpieczeństwo, szczególniej dla chłopców, a w okresie dojrzewania może wywrzeć na nich wprost zgubny wpływ na całe życie, zarówno pod względem fizycznym jak i psychicznym. Nie wiem, czy rodzice zdają sobie dobrze sprawę z tego niebezpieczeństwa. Wtedy świetlica, w której młodzież spędza wolne godziny po pracy, jest prawdziwym dobrodziejstwem.

Co innego zupełnie, gdy rodzice, a przynajmniej jedno pracuje tylko w tych godzinach, kiedy dzieci są w szkole. Wtedy część dnia są razem i mogą się doskonale porozumieć, aby sobie wspólne życie rodzinne miło urządzić. Rodzice nie potrzebują nawet unikać bezwzględnie rozrywek, mogą właśnie wyzyskać na ten cel godziny, które córka czy syn spędzi w świetlicy. Nic nie szkodzi, kiedy starsi i młodsi od czasu do czasu rozłączą się na kilka godzin, jedni i drudzy spędzą czas w środowisku odpowiednim dla siebie — uniknie się w tym wypadku np. przymuszania ojca do chodzenia tylko na filmy dozwolone dla młodzieży, do prowadzenia budujących pedagogicznych rozmów z dziećmi, kiedy zmęczony pracą jest do tego nieusposobiony, a z drugiej strony przymusowego uczestniczenia młodzieży w towarzystwie starszych (goście i wizyty), wysłuchiwania niestosownych rozmów, często przepojonych zupełnie nieodpowiednim nastawieniem do życia dla młodych. Oczywiście pod warunkiem, że takie rozrywki oddzielne nie będą zbyt częste, że wspólne dobrowolne spędzenie kilku godzin wypoczynkowych rodziców i dzieci będzie naprawdę zbliżeniem, porozumieniem się i stanie się dla obu stron prawdziwą i rzeczywistą potrzebą. Ale trzeba dbać, żeby dziecko w domu też coś miało.

żeby te wspólne wczasy nie były jałowe i nudne. Musi któreś z rodziców przemyśleć tę sprawę, że należy dom urządzić tak, aby dziecko w domu mogło się i pobawić, nie tylko pracować, że chwile poświęcone wspólnej rozrywce nie mogą być traktowane jako poświęcenie się rodziców, bo młodzież to bardzo szybko wyczuje i reaguje natychmiast nudą. Ci, którzy mówią, że czasy kiedy przy jednej lampie siedziało kilka głów schylonych, każdy pogrążony w swoim zajęciu, a jednak wszyscy bliscy sobie i szczęśliwi, że są razem, że mają siebie — minęły, mylą się. O nie, przeciwnie, zdaje się, że wszycy wyczuwamy potrzebę nawrotu do nich, tęsknotę, aby taki wspólny stół był w każdym domu.

Znam chłopca — żywy, inteligentny, przepada za towarzystwem kolegów, lubi świetlicę, ale jakże wdzięczny jest ojcu, który — jest inżynierem-chemikiem — widząc w chłopcu duże zainteresowanie do tych nauk, daje mu do czytania broszurki z zakresu chemii, rozmawia z nim o nich; dyskutują, snują projekty i pełne fantazji zamierzenia na przyszłość. Obydwóch pochłania ta rozmowa, oczy im błyszczą, jeden drugiemu udziela zapału, starszy porwany entuzjazmem młodości, młodszy rozumem, doświadczeniem ojca. Napewno ten chłopiec nie będzie uciekał ponad miarę do świetlicy.

A wspólne czytanie, a gra w szachy? A tak zwana „szkolna mama", która pracując w patronacie poznaje klasę, tak dobrze wtajemniczona jest nie tyllko w poważne zagadnienia życia klasy, ale i w różne koncepty i psikusy chłopców zawadyjaków. Ileż to tematu do rozmowy z dziećmi. Bo taka szkolna mama imponuje niezmiernie dzieciom, jeśli ich *koledzy* odnoszą się do niej z szacunkiem i sympatią, a sąd kolegów nieraz jest więcej miarodajny dla dziecka.

Nie, stanowczo konkurencja świetlicy nie jest niebezpieczna dla domu, o ile dom będzie przedstawiał coć poza materialnym zaspokojeniem codziennych potrzeb młodzieży.

P. Z.

*

Niebezpieczeństwa zagrażające chłopcom wskutek zbyt długiego przebywania w towarzystwie kolegów poza domem są dość poważne. Jedno z nich to gromadne chodzenie na boiska i przyglądanie się zawodom. Sami często nie biorą czynnego udziału, a stoją w tłumie wyrostków niekulturalnych, wyrzucających z siebie okropne wyrażenia, więcej niż nieprzyzwoite słowa. Zawierają nieraz na stadionach bardzo niewłaściwe znajomości. Z tego źródła pochodzą różne wulgarne określenia, stosowane przez chłopców i w szkole, i w domu. A trzeba nad tym czuwać, bo kultura człowieka wymaga od niego wyrobionego smaku pod tym względem. A i sami zawodnicy pozostawiają nieraz wiele do życzenia, jeżeli chodzi choćby o kulturę zewnętrzną. (Przykł. rzucanie niedojedzonymi bułkami i skórkami od pomarańcz w ścianę podczas przerwy wypoczynkowej.

P. O. L.

*

Młodzieniec w artykule p. Wasylewskiego przytacza jako argument, że i dawniej młodzież spędzała czas poza domem rodzinnym, tworząc tajne kółka uczniowskie. „Tam rodził się duch niepodległościowy, tam wśród tych dzieci często zapadały decyzje, o których rodzice nie ważyli się myśleć". Czy dzisiaj związki młodzieży nie mają racji bytu? Według mnie między niepodległościowymi kółkami młodzieży a dzisiejszymi jej związkami różnica jest duża. Przed odzyskaniem niepodległości młodzież z konieczności spełniała pracę poważną,

którą powinni byli prowadzić starsi, i to był stan nienormalny, który wynikał z niewoli naszej ojczyzny. Sam fakt istnienia *tajnych stowarzyszeń ideowych wśród młodzieży* jest nienormalny i z góry przekreśla autorytet wychowawców, a więc w wypadku kółek niepodległościowych u nas przekreślał autorytet szkoły zaborczej (wrogiego państwa), a nawet i tych rodziców, którzy się do idei młodych wrogo odnosili. Wszelkie tajne stowarzyszenie młodzieży burzy autorytet wychowawców, a przecież rodzice i szkoła są naturalnymi wychowawcami młodzieży. Ludzie, którzy w takich warunkach dążyli do realizowania swoich ideałów, posiadali jakby skondensowaną energię, rozpalali się i knuli, działali jakby pod wielkim ciśnieniem, wzrastającym jeszcze pod wpływem nacisku z zewnątrz. To było konieczne, zbawienne, ale to były warunki nienormalne, tak jak nienormalna była szkoła zaborcza i państwo zaborcze i pokolenie dorosłych przystosowane do ugody z wrogiem. Ale w Polsce Niepodległej wszystko, co wartościowe, może być dzięki Bogu prowadzone jawnie i otwarcie. Nie trzeba młodzieńczej energii zakopywać jak prochu w ziemię, może się palić spokojnie. Tragedia niewoli była właśnie najokrutniejsza w swym destrukcyjnym oddziaływaniu na młodzież, bo pamiętajmy, że jakkolwiek wyzwalała wielkie wartości u silnych jednostek, paczyła niejednokrotnie bierniejszych i słabszych.

Człowiek w wielkim niebezpieczeństwie, niepewny życia, wydobywa z siebie bardzo wiele siły, zdolny jest do czynów, którym w normalnych warunkach nie podołałby. Ale, zgodzimy się wszyscy, że normalny stan atmosfery wychowawczej wyklucza absolutnie poczucie niebezpieczeństwa.

Z. A.

*

Czy świetlice i związki młodzieży zagrażają życiu rodzinnemu? Zależy co się uważa za życie rodzinne. Czy tylko dużo czasu spędzanego wspólnie, czy też głębsze porozumienie i wzajemne liczenie na siebie. Otóż świetlice zagrażają ilości czasu, bo zabierają ten czas, który młodzież spędzałaby w domu, zagrażają wspólnemu spędzaniu czasu całej rodziny. Ale czy to jest źle? Tego, co daje świetlica — rodzina dać nie może, a szczególnie tam, gdzie nie ma większej ilości dzieci w domu, bo tylko przy licznej gromadce można mówić o społecznym wychowaniu. Jedynak nie jest społecznie wychowywany w domu i dla tych rodzin świetlica, gdzie młodzież może przebywać w kręgu rówieśników, jest wprost niezastąpiona; właśnie jako surogat tej *licznej rodziny*, w której dzieci tworzą społeczność i jedne drugie wychowują. Ale może zdarzyć się w licznej rodzinie tak wielka różnica upodobań, że przy największej miłości ciągle powstają sprzeczki. Nie zaszkodzi wtedy, jeżeli się rozejdą i czas wypoczynkowy spędzą oddzielnie. Jeżeli mają sobie coś do powiedzenia, to napewno znajdą czas na to. Zresztą rodzina niekoniecznie musi siedzieć w domu, może jeździć razem na obóz, na wycieczki. Czas już przestać utożsamiać pojęcie rodziny z *domem*, wspólne wycieczki właśnie o wiele więcej zbliżają członków rodziny.

R. N.

*

Spędzanie przez młodzież wolnego czasu w rodzinie, o ile rodzina jest dobrana i może się porozumieć, ma momenty, których organizacja dać nie może. Starsza młodzież ocenia je, ale początkowo zdarza się, że towarzystwo kolegów pochłania całą istotę młodą w tym stopniu, że nic poza tym nie ma do niej dostępu. Zaczyna to się zwykle wtedy, kiedy dom przestaje wystarczać, a gdy-

by nie zjawili się koledzy, to przyszłoby pewnie coś gorszego. Różne typy młodzieży w pewnym okresie przeżywają różne „szaleństwa”, a więc jednych pochłania życie koleżeńskie i świetlicowe, innych flirt itd. Jeżeli rodzina będzie coś przedstawiać dla młodego osobnika, to napewno do niej wróci; jeżeli jednak jest tylko „przypadkową” rodziną, to młodzież istotą swą zostanie poza nią.

Kto ma organizować wczasy młodzieży? Szkoła bezwarunkowo nie. Mimo wszystko powinny się wczasy opierać na doborze dobrowolnym. Bo chociaż dużo się mówi o samorządzie szkolnym, to jednak do wyjątków należą klasy ze sobą zżyte, ożywione jednym prądem. Do wyjątków też należą nauczyciele, którzy po całorocznej pracy jeszcze zdobędą się na świeży zapał i energię do prowadzenia takich wczasów. A w żaden sposób nie powinien robić tego ktoś zajmujący się tym z musu i wbrew swojej woli, co się często zdarza.

Organizowanie wczasów wakacyjnych dla młodzieży przez organizacje jest bardzo rozpowszechnione. I jest to pożądane dlatego, że tych wrażeń i tych przeżyć, które można znaleźć na obozach i wycieczkach, urządzanych przez organizację, nie może dać ani najbardziej wzorowa rodzina z natury swej, ani nie daje szkoła, bo nie umie.

Ale jest jeden warunek konieczny: rodzice przed powierzeniem swych dzieci organizacji powinni dobrze rozważyć, czy kierownictwo tej organizacji stoi na wysokości zadania, bo z chwilą oddania pod jego opiekę dziecka, muszą na pewien czas prawa swe ustąpić kierownikom akcji. Wtrącanie się rodziców, którzy kochają swoje dzieci, ale którzy nie żyli nigdy sami w warunkach obozowych, utrudnia pracę opiekunom młodzieży, a autorytet rodzicielski może poważnie narazić na szwank, o ile zajdzie w jakimś wypadku poważna rozbieżność zdania. To samo odnosi się do wszelkich wycieczek, organizowanych przez szkołę.

I organizacja i dom powinny organizować wczasy letnie dla młodzieży, bo każde z nich daje swoje bardzo duże wartości. Młodzież, która całe wakacje spędza w gronie rówieśników na obozach, staje się znacznie mniej wyrozumiała i mniej tolerancyjna dla ludzi (i zarozumiała — przyp. red.). I kiedy znajdzie się w towarzystwie innych osób, nie może sobie dać rady, nazywa ich kretynami. W przeciwieństwie do tego, rodzina uczy młodzież wyrozumiałości i tolerancji, a przez swój organiczny konserwatyzm stwarza hamulce w sądzeniu ludzi starszych i rozwija poszanowanie dla ich praw.

Wszelkie związki młodzieży muszą wychowywać człowieka bojowego, bo mają pewien program bojowy, często muszą zwalczać opinię publiczną, muszą być bezkompromisowe, nie mogą być tolerancyjne. A naturalną funkcją rodziny powinno być zaszczepianie tolerancji w młodych. Już sam fakt istnienia sztabu wujków i cioć, z którymi trzeba żyć w zgodzie, zmusza do zastanowienia się czy i druga strona nie ma racji.

Idalia Pokrzywnicka.

Cieplarnie.

Przed wielu laty przeczytałam książkę jakiegoś niemieckiego autora pod tytułem „Homo sum”.

Problem był przedstawiony w następujący sposób: dwaj śmiertelni wrogowie rozstają się i tracą się z oczu. Jeden wstępuje do klasztoru, drugi zostaje w świecie. Po bardzo wielu latach spotykają się niespodziewanie. Dawna nienawiść odżywa z niepohamowaną mocą. U kogo!U mnicha! Tamten zwyciężył ją

dawno. Wniosek: na nic rozwój wśród samych dobrych wpływów, w cieplarni dla ducha. Charakter silny wyrabia się jedynie „im Gerausch der Welt”, („w rozgwarze świata” *tł. red.)* jak mówi Goethe.

Podobny pogląd spotykam u swoich znajomych.

Ze zdumieniem przyjmują wiadomość, że zabrałam córeczkę ze szkoły, w której niekulturalna i nieopanowana nauczycielka wywiera na dziecko bardzo niepożądany wpływ. Ponieważ innej szkoły nie ma, wolę uczyć ją sama.

— Jakże można usuwać dzieciom takie kamienie z dróg. Niech się zahartują. Życie postawi ich także oko w oko z wpływami niepożądanymi. Niech się zawczasu zahartują.

Odpowiadam: wolę, że w nim wpierw zhartuje się, stężeje dobro, zanim wyprowadzę naprzeciw złu.

Inni znowu dezaprobują jakiś wzorowy internat. Ktoś bowiem oddał chłopca swego do internatu uchodzącego za jeden z najlepszych. Dzieci chowają się tam pod stałym nadzorem profesorów. Uczniów „zepsutych” wydala się natychmiast. Słowem: dziecko chowa się pod samymi dodatnimi wpływami, zdaleka od zła. Znajomi rodzice potrząsają głową powątpiewająco: to na nic taki system cieplarniany. Gdy później stanie w życiu, nie będzie umiał spotkać się ze złem. Załamie się.

W myśl takich pojęć chowają tedy oni dzieci własne. Dzieci odbywają daleką drogę do ochronki, a później do szkoły, bez opieki. Czytają książki, których rodzice nie kontrolują. Są stałymi gośćmi w kinie, oczywiście na sztukach „dozwolonych dla młodzieży”. Nie wpływa się na wybór kolegów. Ojciec jest zajęty pracą naukową, matka pracą społeczną. Dzieci chowają się same. Zagadujący ich o taką metodę wychowawczą otrzymuje odpowiedź: muszą być samodzielne; muszą się zahartować; dobro, jakie w nich tkwi, napewno się wybije i utrwali wśród przeciwności.

Trudno zadać rodzicom pytanie: a jeżeli tkwi w dziecku zło? Sami są ludźmi szlachetnymi. Nie uwierzą, że jabłko nie musi upaść niedaleko od jabłoni.

Siłą kontrastu narzuca się inny obraz. Tak zwana „trzęsąca się” nad dzieckiem matka.

Sama zajmuje się wychowaniem dziecka od najwcześniejszych lat. Nie dopuszcza żadnej niani, ani bony, bojąc się niedobrych może wpływów tych osób. Nie daje do rąk dziecka książki, której by sama przedtem nie przeczytała i uznała za dobrą. Sama wybiera dziecku spowiednika światłego i dobrego pedagoga. Sama bardzo starannie dobiera kolegów, oddaje do najlepszych szkół. Słowem, otacza dziecko środowiskiem, jakie uważa za najbardziej czyste moralnie — bez bakterii zła moralnego.

Kto postępuje mądrzej? Czy zasady zaobserwowane w przyrodzie, niezmiennie działają także w życiu duchowym? Znam dzieci, które chowały się bardzo długo w lesie. Potem losy rzuciły je do miasta. Odrazu zaczęły chorować na wszystkie po kolei choroby dziecięce. Lekarz oświadczył, że organizmy nie wyrobiły w sobie odporności przeciw bakteriom w czystym powietrzu w lesie.

Lecz z drugiej strony... w duszy każdego człowieka drzemią obok siebie zarodki zła i zarodki dobra. Wiadomo, że rozwijają się jedne i drugie w warunkach sprzyjających. Któż tedy nie chciałby jak dobry ogrodnik pokierować rozwojem, dobierając warunki...

Prawda, — że na rozwój dziecka działają nie tylko wpływy mechaniczne, jak w przyrodzie... działa jeszcze wola jego własna, wolna, działa owa tajemnicza moc, nazwana przez ludzi wierzących Łaską Bożą.

Tak, że mimo takie czy inne warunki zewnętrzne, może ono pójść zgoła niespodziewaną drogą.

Jednakże... wpływy zewnętrzne bodaj zawsze ułatwiają lub utrudniają nawet wysiłek woli, nawet poddanie się łasce, nawet opór pokusom.

Nie wystarcza samo rozumowanie, żeby dojść do wniosku, trzeba korzystać z doświadczeń. Żeby tak krewni, przyjaciele, znajomi i nieznajomi zechcieli zwierzyć się nam z tego, czy są takimi, jakimi są wskutek warunków zewnętrznych w dzieciństwie, czy wbrew warunkom zewnętrznym.

Kto jest większym przyjacielem swego dziecka: ten, kto rzuca je do wody, by samo nauczyło się pływać, czy ten, kto za rękę prowadząc, z nim razem idzie „przeciw fali".

Maria Niesiołowska.

„Matka i córka".

Nie dyskusja radiowa na temat „Matka i córka" nasunęła mi szereg uwag, które mogłabym sprecyzować, ale właśnie dyskusja, która się rozwinęła w Nr. 3 miesięcznika „Rodzina i Dziecko". Zabrało głos 8 osób.

Prawie wszyscy przypisują winę matce w niezrozumieniu się tych dwóch pokoleń, zarzucając starszemu społeczeństwu: „analfabetyzm", „brak zrozumienia", „upór", „przeczulenie w nierozumnej miłości" itd. itd.

Postaram się obronić matkę, wysuwając braki córki.

Słuszne jest, że córka wymaga usamodzielnienia i że przecież opieka matki kończy się, ale czyż może kończyć się tak od razu i tak kompletnie?

Ślicznie powiedziała autorka dyskusji, że matka chce brać udział w życiu dziecka, a że wchodzi i zabiera głos w przeróżnych drobiazgach, toć przecież zupełnie naturalne, matka zawsze jest kierowniczką i uczestniczką drobnych spraw, z których jednak składa się życie.

Jeśli kończy się opieka matki, ponieważ córka stała się dojrzałym człowiekiem, niechże zmienią się role, niech z kolei córka pomyśli o opiece nad matką, choćby w tych drobnych mało znaczących sprawach.

Niech pomyśli o tym, aby jej zrobić przyjemność. Teatr, kino, spacer... niech tylko tak ułoży swoje sprawy, aby znalazła na nie czas i ochotę. Może zdobędzie się na drobną przysługę, zapewniającą matce wygodę? Właśnie te drobne sprawy dadzą matce i córce wiele zadowolenia i pozwolą jednej i drugiej uczestniczyć wzajemnie w swym życiu.

Bardzo charakterystyczne jest dla młodego pokolenia owo oburzanie się córki na to, iż matka wymaga od niej sprawozdania z wydanych pieniędzy. Jest to niedocenianie wartości pieniądza, dopóki nie jest to pieniądz przez nią zapracowany.

Pani L. radzi matce czekać, czekać cierpliwie, aż córka sama przyjdzie z wynurzeniem i wyjaśnieniem, ale czy nie obawia się Pani, że owe wynurzenia mogą być spóźnione, że nie da się to już nigdy odrobić i że zbytnią subtelnością matka pozwoli rozwinąć się wypadkom, które złamią życie dziecka?

Ciekawy jest moment w dyskusji na temat tego, że matka wyzbywa się pewnych wydatków dla siebie na rzecz córki i właśnie córka powiada: „Ja

chciałabym, aby mama sobie sprawiła to i owo". Czym że ta chęć jest poparta? Zbyt jest sprytna, aby jej tłumaczyć, że właśnie jej wydatki uniemożliwiają niezbędny nieraz sprawunek dla matki. A czy rzadko się zdarza, że wykształcenie córki przekreśliło przewlekłą i kosztowną kurację matki, bez której jest niedołężna? Czy wolno córce teraz mówić tak jak to mówi pani M.: „niech mama nie zrzędzi, nie będzie rozgoryczona"?

Nie uznaję i nie lubię takich słów jak „wdzięczność', jak „miłość z obowiązku", ale troskliwość rodziców, zapobiegliwość, staranie w wychowaniu i kształceniu dzieci bywają bardzo różne i to młodzież sprytna i spostrzegawcza może ocenić.

Słusznie zaznacza p. R., że matka powinna mieć swoje zainteresowania, swoje życie. Tu przychodzi jej z pomocą praca zawodowa, oświatowa, społeczna, dobroczynna, uzupełnienie swego wyształcenia, wszystko to pozwoli jej przetrwać okres, w którym córka zatraca się w swej samodzielności i swym życiu nowym. pełnym czarownych zjaw i uwielbień, aż nadejdzie okres, w którym zechce ustabilizować swe życie i wtedy sięgnie do doświadczeń i rad matczynych.

W. D.

Czekolada i osiedle.

Sprawa czekolady na osiedlu zmusza nas do rozważenia i innych kwestii związanych z osiedlem. Chodzi mi o to, żeby rodzice zwrócili baczniejszą uwagę na to, co wogóle młodzież zabiera z sobą, co kładzie do walizek. Bo skąd się biorą tam książki, które młodzież czyta oczywiście w zakonspirowaniu przez opieką szkolną, a których by nie śmiała czytać pod okiem rodziców. Znam osiedle, gdzie wszystko jest wzorowo prowadzone, opieka troskliwa, a jednak, kiedy opieka położy się spać — zaczyna się podwójne życie młodzieży. A więc palenie papierosów, granie w karty, opowiadanie bardzo drastycznych anegdotek i co najgorsze „wyżywanie się" silniejszych ujemnych jednostek, które w klasie są przytajone , w postaci wypowiadania swoich poglądów na stosunek i udział młodzieży w sprawach dorosłych.

Typy słabsze, bierniejsze nieraz bardzo intensywnie ulegają tym wpływom. Osiedle jest dobrodziejstwem dla młodzieży, gdyż umożliwia jej oderwanie się od nerwowego, wyczerpującego młode siły życia wielkomiejskiego, ale wymaga nadzwyczaj czujnej opieki ze strony wychowawców, bo odprężenie młodzieży w środowisku, w którym *każdy staje się sobą*, pociąga obok dodatnich stron również i ujemne.

A największy kłopot, moim zdaniem, polega na tym, że wychowawca klasy, będąc jednocześnie nauczycielem w innych klasach, nie może być stale na Osiedlu ze swymi wychowankami.

A. E.

GŁOSY WYCHOWAWCóW.

Pensja młodzieży szkolnej w świetle składek uczniowskich.

W artykule „Oszczędność" z Nr. 2-go „Rodziny i Dziecka" została poruszona w należytym naświetleniu sprawa pensji wypłacanej młodzieży przez rodziców. Sprawa ta „jedno z ważnych zagadnień wychowawczych wieku szkolnego" — nabiera specjalnej wagi, gdy się mierzy jej znaczenie w związku z pokrewnym zagadnieniem płacenia składek przez młodzież szkolną.

Rozbudowane życie społeczne szkoły wiąże się z faktem tym, że młodzież szkolna płaci składki, na samorząd klasowy czy międzyklasowy, na L. O. P. P., na Ligę M. i K., na F. P. B. S., na P. C. K. itd. Prócz tego coraz częściej czytamy w prasie codziennej lub słyszymy przez radio, że młodzież, względnie dziatwa tej lub tamtej szkoły „postanowiła dobrowolnie opodatkować się na F. O. N.", że chce zakupić karabin maszynowy, a nawet zbudować ścigacz morski.

Im więcej cieszy nas ofiarność patriotyczna i społeczna młodzieży, tym więcej czuwać powinniśmy by dana akcja przyniosła takie rezultaty *wychowawcze*, jakie zawiera w sobie cele.

Rzućmy spojrzenie w głąb faktu: młodzież szkolna deklaruje dobrowolnie składki.

Opodatkować się na cel społeczny w określonym wymiarze składki, może tylko ten, kto ma zapewniony dochód, a więc dysponuje pewną sumą własnych pieniędzy. Inaczej byłoby to zakłamaniem lub blagą, co w dalszych wynikach prowadzić mogłoby do niebezpiecznej nieobowiązkowości, może nawet pewnej nieuczciwości

Składki młodzieży szkolnej w tym tylko wypadku spełnią ważną rolę wychowawczą, jeśli składać je będzie młodzież z własnej pensji, wypłacanej jej przez rodziców, jeśli deklarować je będzie świadomie, po rozważeniu własnych możliwości. Wtedy nazwiemy to *ofiarnością* młodzieży, jeśli sama młodzież w budżecie swym miesięcznym zmniejszy lub usunie pozycje przeznaczone na słodycze lub kino by opłacić składkę na F. O. N., względnie zaciągnie u rodziców zaliczkę na dany cel.

Jeżeli młodzież nie otrzymuje pensji miesięcznej w wymiarze chociażby najskromniejszym, to trudno będzie spodziewać się dodatnich wyników wychowawczych z jakiejkolwiek akcji, związanej z opodatkowaniem się młodzieży. A już wręcz ujemne byłyby wyniki wychowawcze, jeśliby młodzież musiała domagać się w domu co miesiąc wydzielenia jej sumy, potrzebnej na opłacenie składek, a może wysłuchiwać narzekania czy oburzenia rodziców na „wyciąganie pieniędzy".

Trudna sytuacja finansowa wielu rodzin nie sprzyja sprawie wypłacania „pensji" młodzieży. A jednak *trzeba* dokładnie zważyć swe możliwości i wyznaczyć sumę w budżecie danej rodziny na konieczne potrzeby dziecka, uczęszczającego do szkoły. Wówczas dziecko orientować się będzie w możliwościach, a zadeklarowana groszowa składka na F. O. N. czy F. O. M. przyniesie mu duże zadowolenie i poczucie własnej wartości społecznej.

A o to właśnie nam chodzić powinno, bo taki jest cel składek młodzieży szkolnej, poza ich wartością finansową.

Fakt istnienia składek młodzieży szkolnej nakłada ważny obowiązek i na szkołę i na dom rodzicielski.

Szkoła musi czuwać nad regularnością równomiernie wpłacanych składek, w wymiarze zadeklarowanym, oraz nad ścisłym księgowaniem wpłaconych i wypłaconych sum. Dom musi podnosić w dziecku godność obowiązku społecznego i czuwać sam nad punktualnością i powagą w jego wykonywaniu.

Jeżeli tak postawimy sprawę, to umocnimy jeszcze jeden odcinek frontu, na którym walczymy o czynnego i świadomego swych obowiązków obywatela Rzeczypospolitej.

Elżbieta Bąkowska.

Młodzież szkolna a wiosenne wagary.

Z popędów młodzieży niezmiernie silnym jest popęd do wagarów. Wyzwala go przede wszystkim wiosna, a sprzyja mu ogromnie lato.

Już pierwszy ciepły promień marcowego słońca, wkradający się niepostrzeżenie do izby szkolnej i padający na założony książkami i zeszytami pulpit twardej ławki ucznia, działa na młodzież, jako silny bodziec, zgoła nowy, dawno wyczekiwany, wywołujący natychmiastową reakcję, którą wprawny wychowawca i nauczyciel zaobserwują z miejsca.

Ożywcze i budzące działanie promieni słonecznych, tych najprawdziwszych przyjaciół stęsknionej za wolnością młodzieży, ujawnia się przede wszystkim na lekcji. Uczeń czy uczennica przestaje panować na sobą; kieruje wzrok i uwagę ku oknu, traci zainteresowanie dla bieżącej pracy lekcyjnej, zaniedbuje się w uczeniu, znika na niektórych lekcjach, kiedy słońce najsilniej przygrzewa, opuszcza szkołę z powodów wyrafinowanie zmyślonych a ukrywających chęć wagarowania; prawie na każdej lekcji wychodzi, aby przejść się po korytarzu lub podwórzu szkolnym. Chętniej jak zwykle otwiera naoścież okna swej klasy, bez napędzania opuszcza ją zaraz po dzwonku na pauzę, do domu wybiega z gwarem i hałasem, znamionującym głęboką radość, że może swobodnie pobawić się na wolnym powietrzu i skąpać się w słońcu.

A co najciekawsze, uczeń taki stale zwraca się do każdego nauczyciela z osobna i do wszystkich razem, z prośbą pójścia na podwórze, przejścia się po pobliskim parku lub łące i urządzenia tam lekcji; zorganizowania wycieczki za miasto, rozpoczęcia gier i zabaw wiosennych na wolnym powietrzu i na wielkim boisku.

Co więcej, doradza żeby skrócić lekcje, prędzej je zakończyć, wyjść na pole i prowadzić lekcje poza izbą szkolną („taka piękna pogoda"), przyrzekając za to posłuszeństwo, uwagę i solidniejszą niż dotychczas pracę.

Wobec tego ogólnie znanego faktu, tak dawnego, jak dawną jest izba szkolna, notowanego stale i wszędzie, gdziekolwiek na ławie szkolnej zasiada uczeń, musi nauczyciel-wychowawca zadać pytanie, czy objaw ten należy tłumić czy wspierać, jeśli tłumić — to jak, a jeśli rozwijać, względnie w rozwoju nie przeszkadzać lub tolerować, to w jakim stopniu i jakimi środkami?

Pytania te narzucają się mu z tym większą natarczywością, im bardziej dzisiejsza psychologia dziecka i psychologia pedagogiczna głoszą wyrozumienie i konieczność uwzględniania owego powszechnego objawu pędu do wagarów i gier wiosennych.

Okres trwania wpływu wzmiankowanego popędu w czasie nauki szkolnej jest stosunkowo długi, bo trzymiesięczny; przy czym im bliżej ku wakacjom letnim, tym silniej popęd ów odrywa ucznia od jego normalnych zajęć.

Dlatego musi każdy nauczyciel rozważyć, jak ma się do tego ustosunkować.

Receptą zaradczą byłoby wcześniejsze rozpoczynanie nauki, mniej więcej od połowy kwietnia, bo dłuższe i pogodne dni wiosenne pozwalają bez uszczerbku na zdrowiu rozpoczynać naukę przynajmniej o pół godziny wcześniej oraz skrócenie pauz. Z tym łączy się oczywiście wcześniejsze puszczanie uczniów do domu.

Ponad to powinnaby młodzież zbierać się na długich pauzach na podwórzach, przystosowanych (boiskowe urządzenie) do wykonywania dowolnych ruchów i gier grupami, pod nadzorem nauczyciela ćwiczeń cielesnych i gier.

Nauczyciele geografii i przyrody winniby szukać sposobności przeniesienia lekcyj — oczywiście nie wszystkich — na wolny teren, bo nauka ta na tym zyskuje, a uczniowie odniosą pożądaną korzyść.

Nauczyciele ćwiczeń cielesnych mogliby przenieść swoją pracę na boisko, przy czym powinniby prowadzić gry i zabawy często oraz dawać sposobność do uprawiania sportów wiosennych lub zaprawy do letnich całej młodzieży.

Rozumie się, że system taki należałoby stosować oględnie w zależności od pogody, od klasy, wieku uczniów, ich ilości, przedmiotu, koedukacji, rodzaju lekcji, od warunków dyscypliny i autorytetu nauczyciela. Rzecz jasna, że nie każda szkoła może sobie pozwolić na taki eksperyment. Nie każda szkoła ma odpowiednie podwórze - boisko, nie każda jest dobrze położona, nie każda ma jeden i ten sam element uczniowski itp.

We wszystkich prawie zakładach da się jednak wprowadzić częstsze stosowanie metody pracy klasowej *pod kierunkiem* nauczyciela, przenoszącej wiele pracy domowej na lekcję w klasie, a zatem odciążającej ucznia w okresie, kiedy długie uczenie się w domu jest z powyżej podanych powodów wprost niemożliwe; urządzanie we środy po południu tzw. półświęta i zwolnienie uczniów z odrabiania lekcyj na dzień następny, aby swobodniej mogli w takie popołudnie, w *połowie* tygodnia, pobawić się na boisku, w parku lub na wycieczce za miastem; w sobotę popołudniu i w niedzielę można by urządzać piesze wycieczki w nieznane okolice, połączone z pewnym trudem i niewygodą, silnymi emocjami i wrażeniami, stanowiącymi u młodzieży ów psychologiczny podkład odwiecznego pędu do wagarów.

Nauczyciel nie może oczywiście *zrezygnować* z pracy ucznia pod sam koniec, gdy ma zakończyć rok szkolny i program swojego przedmiotu, może natomiast tak pracą pokierować, by się ona odbywała w warunkach, uwzględniających przeżycia wiosenne młodzieży, zamkniętej w ciasnej izbie szkolnej w czasie, gdy przyroda najsilniej ją pociąga na swoje łono.

Skłonność młodzieży do wagarowania obchodzi w poważnej mierze rodziców. Przed nimi uczeń zataja opuszczanie godzin lekcyjnych, im stale mówi, że nic nie jest zadane i wskutek tego może przebywać po południu poza domem; wówczas właśnie wymyka się na pół dnia z pod opieki rodziny, hasając swobodnie po parkach i polach, w owym czasie ulega pokusom przystawania do grup rówieśników i wałęsania się z nimi. Na ten to okres przypada jego zaniedbanie w przedmiotach itd.

Rodzice zatem winni w porozumieniu ze szkołą zająć stanowisko do faktu wagarów młodzieży w tym sensie, by pogodzić pracę ucznia w szkole z psychiką szkolnej młodzieży. Różnicę wieku mało odchylają w tym okresie wahadło wagarów, typy szkół tak samo. Jest to bowiem sprawa młodzieży szkolnej w ogóle i wszędzie.

Dr S. Stendig.

Z PRASY POLSKIEJ.

Młodzież szkolna a polityka.

Prof. Zygmunt Łempicki w „Kurierze Warszawskim" z dn. 2 kwietnia br., zamieszcza artykuł, który ze względu na jego doniosłą treść przedrukowujemy w całości.

„Sprawa udziału młodzieży szkół średnich w życiu politycznym, a raczej potrzeby odsunięcia uczniów od tego udziału budzi ostatnio szczególną czujność społeczeństwa. Przejawem tego są różne głosy, które odzywają się na zjazdach nauczycielskich, w zrzeszeniach rodzicielskich, a także i na łamach prasy codziennej różnych kierunków.

Wciąganie młodzieży szkolnej w czynne życie polityczne, przygotowanie z niej przyszłych kadr partyjnych i podniecanie jej do udziału w walkach partyjnych spo-

tyka się we wszystkich krajach z potępieniem. Uwagi takie dochodzą nas z jednej strony z Francji, z drugiej z Rumunii, gdzie wybuch namiętności politycznych rozpalił ostatnio także i dusze młodzieży szkolnej. Nie bez racji odezwały się przeciwko temu głosy przestrogi i krytyki.

Jest zrozumiałe, że młodzież ma ten wrodzony pęd, iż chce naśladować starszych. Tym się tłumaczy wiele poczynań młodzieży. Nie można się więc dziwić, że gdy prąd takiej czy innej idei przechodzi przez kraj, to i młodzież ulega mu i zdradza ochotę zamanifestowania swojej sympatii dla danego kierunku. Formy tej sympatii mogą być oczywiście różne. Więc, gdy prąd jakiś występuje z hasłami pozytywnymi o znaczeniu ogólno-narodowym, czy też gospodarczym, to zrozumiały jest odruch młodzieży, że idzie za tym prądem. Z chwilą jednak, gdy u przedstawicieli społeczeństwa starszego budzi się instynkt walki i gdy usiłuje siłą przeprowadzić takie czy inne postulaty, czy też zwalczać takie czy inne objawy, to udział młodzieży w tego rodzaju manifestacjach, które przybierają nieraz charakter bardzo jaskrawy, nie tylko nie jest pożądany, ale jest dla rozwoju psychiki młodzieży wręcz szkodliwy.
Musi być zadaniem wychowania budzenie w młodzieży postawy czynnej, dzielności posuniętej aż do bohaterstwa. Ale nie należy młodzieży szkolnej wciągać w wir takich rozgrywek, w których grają namiętności. Raczej należy dusze młodociane chronić od kontaktu z wystąpieniami tego rodzaju i dlatego postulat, aby szkoła i dom zapobiegały udziałowi młodzieży szkolnej w demonstracjach publicznych, ma też głębokie uzasadnienie pedagogiczne. Mieszając się nieraz z tłumem, młodzież szkolna jest w tych przypadkach narażona na szczególne niebezpieczeństwo.

Gdy mowa o zapobieganiu udziałowi młodzieży szkół średnich w polityce, nie można się ograniczyć tylko do sprawy demonstracji. Wchodzi tu także w rachubę udział w organizacjach, udział w porachunkach partyjnych, co się daje zauważyć może raczej w ośrodkach mniejszych na prowincji i przeważnie nie ma charaktru pracy przygotowawczej w kierunku jakichś ideałów, lecz raczej zmierza do wciągnięcia młodzieży szkolnej w wir takich czy innych rozgrywek, w których wyładowują się niechęci osobiste i społeczne wśród grup i kierunków".

O staranniejszą opiekę nad młodzieżą szkolną.

Pod powyższym tytułem zamieszcza „Kurier Poranny" notatkę, nadesłaną przez kogoś z rodziców.

„Otrzymaliśmy uwagi następujące:

„Ostatnimi czasy zachowanie się młodzieży szkolnej na ulicach stolicy dość często pozostawia wiele do życzenia. W szczególności w godzinach wieczornych na Nowym Świecie po stronie nieparzystej rzucają się w oczy grupki młodzieży, ostentacyjnie flirtujące, często rozkrzyczane, rzucające uszczypliwe uwagi w stosunku do przechodniów. Podobne zachowanie się młodzieży jest nie tylko niedopuszczalne, lecz w dodatku świadczy o rozluźnieniu norm wychowawczych, co w wyniku ostatecznym odbić się może na ogóle młodzieży.

Dodać do tego należało by, że mimo oficjalnych zakazów, wiele młodzieży szkolnej uczęszcza do kawiarni - dancingów, których liczba ostatnio zastraszająco wzrasta w stolicy. Nie trzeba podkreślać, że na takich „dancingach" zbiera się towarzystwo co najmniej mieszane i że instytucje te są wysoce niemoralne i deprawujące. Na własne oczy widywałem w jednej z cukierni w al. Ujazdowskich uczennice szkół średnich, które same, bez towarzystwa, — no i bez numerków szkolnych, — zajmowały miejsca przy stolikach, aby tańczyć później z nieznajomymi panami.

Nie można winić o to ogółu młodzieży, lecz nie wolno, zdaje mi się, zapominać, że z tymi godnymi potępienia jednostkami obcują na terenie szkolnym i nasze dzieci. Opowiadania jednostek zdeprawowanych zawsze pozostawiają ślad na młodych umysłach. Wydaje się, że policyjne represje w stosunku do ogółu młodzieży, jakie niedawno czyniono, nie odniosą nigdy skutku, przeciwnie: wyrobią w młodzieży raczej hardość w stosunku do zarządzeń władz. Raczej wskazane byłoby legitymowanie awanturujących się jednostek przez ew. specjalnie od czasu do czasu delegowanych na kontrolę uliczną przedstawicieli władz szkolnych. Co się zaś tyczy kawiarni z południowo - wieczorowym dancingiem, to tu byłoby w ogóle wskazane jeżeli nie zamknięcie tych przedsiębiorstw, to przynajmniej przeprowadzenie co jakiś czas rewizji wśród ich bywalców, co znakomicie oczyściłoby atmosferę.

Mam nadzieję, że w sprawie tej zechcą się wypowiedzieć również inni rodzice, którym zależy nie tylko na własnych dzieciach, lecz i na ogólnym poziomie moralnym naszej młodzieży szkolnej".

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Słowa godne zapamiętania.

„L'Enseignement Public" z 1 kwietnia r.b. podaje wyjątek z listu otwartego René Hubert'a, dziekana wydziału Humanistycznego Uniw. w Lille, Prezesa grupy „Przyjaciół Nowej Szkoły" do sekretarza tejże grupy.

„Jedna rzecz w rzeczywistości współczesnej napełnia mnie lękiem niemniejszym, niż nędza i bezrobocie, a jest nią nauczanie nienawiści.

Jakże zapomnieć o tym, że w chwili obecnej miliony dzieci na całym świecie wychowuje się, kształci, tresuje ku nienawiści i ku walce?

Jakże tu nie zadrżeć na myśl, że i tu, u nas, te same namiętności zstępują i przenikają aż do dusz niewinnych najmłodszych dzieci?

Nie łudźmy się: wychowanie, oparte na nienawiści czegokolwiek i kogokolwiek, może kształtować jedynie dusze nienawidzące, pełne uczuć gwałtownych, podatne na wszelkie zło...

W wychowaniu nic się nie stworzy wielkiego, trwałego, ożywczego, jeśli nie będzie ono oparte na miłości, jak najszerszej, najbardziej wszechogarniającej, najbardziej powszechnej"...

Piękne to słowa, tętniące duchem iście chrześcijańskim, godne przedstawiciela warstwy najoświeceńszej francuskiego społeczeństwa.

Walory wychowawcze robót ręcznych.

W związku z projektowanym we Francji wprowadzeniem robót ręcznych do programu szkoły średniej omawia O. Leroy w „Vie intellectuelle" znaczenie wychowawcze pracy ręcznej dla pracownika umysłowego.

„Pracownik umysłowy skłonny jest do interesowania się walorami humanistycznymi kultury, ale niezbędne jest dla nich wtajemniczenie się w pracę ręczną, tylko w ten sposób zapozna się z siłą moralną jaka tkwi w każdej przedsięwziętej pracy materialnej, a której podstawą jest rzetelność. Praca umysłowa, której doskonałe wykonanie jest sprawą daleką, może łatwo ulec zafałszowaniu, moż-

na się w niej zręcznie wymigać z tych czy innych trudności. Praca ręczna albo jest zrobiona, albo nie, jeśli jest wykonana połowicznie, lub błędnie, — nic nie jest warta, i musi być przerobiona ponownie. Wymaga ona c i e r p l i w o ś c i, s k r o m n o ś c i, a wreszcie ł a d u i m e t o d y c z n o ś c i, bowiem zaczynać w niej trzeba od początku i zbaczać w niej nie można od wytkniętego celu".

Poradnia cenzurkowa.

„Schweizer Erziehungs Rundschau", (marzec b.r.) donosi o ciekawej poradni, która niedawno powstała w Wiedniu. Jest to poradnia w sprawach świadectw szkolnych. Koniec semestru, czy roku szkolnego, to chwila ciężkich przeżyć dla dzieci i młodzieży. Zły stopień na okres, brak promocji bywają przyczyną ciężkich depresji, prowadzących nieraz nawet do samobójstwa, lub do ucieczki z domu, a w każdym razie do wstrząsów moralnych, które mogą doprowadzić do załamania się nerwowego.

Takim sytuacjom pragnie zapobiec poradnia. Może się do niej zwrócić każdy uczeń ze złym świadectwem rocznym, czy okresowym, a poradnia podejmuje się omówić jego sprawę z domem, zapobiec niesprawiedliwemu gniewowi rodziców, udzielając jednocześnie uczniowi wskazówek co do dalszej pracy.

Trening pomaga i roślinom.

Ten sam miesięcznik pedagogiczny szwajcarski informuje o ciekawych eksperymentach dokonywanych w Instytucie fizjologii roślin w Chicago nad mimozami (mimosa pudica). Jak wiadomo, roślina ta stula liście za każdym dotknięciem, i otwiera je ponownie po upływie 10 — 14 minut. Otóż liście grupy tych roślin drażniono przez dotykanie systematycznie, co kilka godzin, zmuszając je do stulania się. Rośliny, które ćwiczono w ten sposób w ciągu czterech tygodni wzmocniły się znacznie, rosły i rozwijały się szybciej, niż pozostałe rośliny z tej samej hodowli, trzymane w identycznych warunkach, lecz pozbawione treningu, energii. Liście swe otwierały już po upływie 2 — 4 minut. Pomiary wykazały, że przyrost u roślin trenowanych wynosi 40 — 50%.

DZIECI, KTÓRE NIE WIDZĄ.

„Jakiego koloru ma oczy?" — oto pierwsze pytanie, jakie zadają babcie, ciocie i znajomi gdy w rodzinie zjawia się nowy, mały przybysz, A potem, gdy dziecko zaczyna się po raz pierwszy interesować otaczającym je światem, daje to powód do nowych zachwytów: „Jakie rozumne ma oczka, jak bystro patrzy". Gdy wreszcie dziecko bierze już udział w życiu rodzinnym i szkolnym ciągle padają ostrzeżenia: „Uważaj na oczy, nie forsuj ich, ochraniaj wzrok".

Wzrok! Jeden z największych darów, jakie człowiek otrzymał. Dar, któ-

ry łączy go ze światem i staje się źródłem wrażeń świetlnych i barwnych. Dar, który pozwala swobodnie pokonywać przeszkody i unikać niebezpieczeństw. Nic dziwnego, iż drżymy na myśl, że dzieci nasze mogłyby go utracić.

A jednak! Wybierzmy się kiedy, żeby zwiedzić Zakład Opiekuńczy dla niewidomych dzieci. Oto maleństwa z przedszkola bawią się w piasku. Małe rączki niepewnym ruchem szukają łopatki, która leży tuż obok. Rączki te wyciągnięte naprzód badają przestrzeń najeżoną mnóstwem przeszkód. Niektóre oczy są jasne, czyste, zupełnie jak oczy widzących, ale nie odwracają się, gdy promień słońca pada prosto w twarz. Światło nie ma do nich dostępu.

Co będzie z tymi dziećmi gdy dorosną? Czy życie ich musi być wieczną nocą, tragicznym zmaganiem się z losem? Czy świadomość kalectwa nie obudzi w nich tak silnego rozgoryczenia, że zabije w nich wszelką energię i chęć walki? Czy wyrzuceni poza nawias społeczeństwa nie będą ci niewidomi czuli się pariasami, którzy nie żyją, a wegetują?

Rozmaita jest reakcja na spotkane cierpienie. Czasem widok kalectwa wywołuje bunt, czasem zdawkową litość, a najczęściej ludzie wolą się z cierpieniem nie spotykać bo... to nieprzyjemnie. „Ja mam zbyt czułe serce, żeby patrzeć na cudze nieszczęście" — tak się tłumaczy takie stanowisko. A przecież jest jedno jedyne właściwe podejście do sprawy: współczucie, które zmusza nas do szukania wszelkich sposobów, aby człowiekowi cierpiącemu przynieść ulgę.

Czy jednak w tym wypadku sytuacja nie jest beznadziejna? Czy można w jakikolwiek sposób skompensować utratę wzroku, zmienić los, czekający niewidomego? Otóż można. Przez odpowiednie wychowanie, przez rozwinięcie zdolności, a przede wszystkim przez rozbudzenie życia duchowego można z człowieka dotkniętego najcięższym bodaj kalectwem uczynić jednostkę samodzielną, czynną i samowystarczalną.

Niedaleko Warszawy, w Laskach znajduje się Zakład dla Niewidomych. Możemy tam obserwować jak się odbywa wychowanie niewidomych od chwili, gdy maleństwo zostaje oddane do przedszkola, aż do momentu, gdy jako człowiek dorosły, mający fach w ręku, idzie pracować samodzielnie.

W ogródku chłopcy ze szkoły powszechnej robią porządki. Henio wie już doskonale co i jak ma robić. Śmiało podchodzi do stosu cegieł, wybiera najlepsze i przenosi je na oznaczone miejsce pod płotem, Staś jest nowy. Jeszcze się boi. Opiekunka bierze go za rękę i prowadzi do cegieł, pomaga mu wyjąć jedną, i prowadzi do płotu, ale teraz Staś musi sam trafić. Na drodze tyle niebezpieczeństw: trzeba ominąć dołek w piasku, uniknąć uderzenia zwieszającej się gałęzi. Staś aż poczerwieniał ze skupienia i natężenia uwagi. Udało się, doszedł! Na drugi raz przejdzie już pewniej,

a potem będzie śmiało biegał po ogródku, tak jak Henio. Strach został przezwyciężony.

W sali szkolnej chłopiec z wyższego oddziału lepi słonia z plasteliny. Słoń w najdrobniejszych szczegółach podobny jest wiernie do gipsowego modelu stojącego na stole. Obok drugi chłopiec czyta z grubej kisążki pisanej systemem Braille'a. Szybko posuwa palcami po wypukłych znakach. Dzięki tym znakom świat myśli ludzkiej, zamknięty w książkach, stał się dlań dostępny. W warsztatach koszykarskich i szczotkarskich wre praca. Wierzyć się nie chce, że te precyzyjne szczotki i szczoteczki, te kolorowe koszyczki i podstawki zostały wykonane rękami niewidomych.

Co zaś uderza każdego, kto pierwszy raz jest w Laskach, to pogoda, a nawet wesołość niewidomych chłopców i dziewcząt. Nic dziwnego. Sercem Lasek jest kaplica zakładowa. W niej niewidomi znajdują największe oparcie jakie mieć mogą, oparcie o ufność w miłosierdzie i opiekę Bożą. A przy tym wychowanie, które konsekwentnie wyrabia w nich samodzielność i zaradność, zdobywanie fachu, który potem da im możność pracy zarobkowej, to wszystko sprawia, że spokojnie patrzą w przyszłość.

A teraz trochę cyfr: W Laskach znajduje się 261 niewidomych. W tym dzieci z przedszkola 11, ze szkoły powszechnej 136, ze szkoły zawodowej 50. Potrzeby Zakładu są ogromne. Nie starczy na te dzieci, które już są w Laskach, a tyle jeszcze niewidomych w Polsce potrzebuje opieki.

W jaki sposób można im dopomóc? Przede wszystkim finansowo. A potem tyle jest rzeczy, które dla nas mają może małe znaczenie, a w Laskach oddadzą wielkie usługi, a więc: sukienki, ubrania, buciki. Zabawki, które niejednokrotnie służyć będą podczas lekcji, gdyż za ich pomocą poznają dzieci niewidome otaczający je świat, zapisane zeszyty, na których doskonale można pisać systemem Braille'a, książki, które posłużą do głośnego czytania itp.

Zbliża się okres wyjazdów wakacyjnych. W wielu domach segreguje się przy tej sposobności ubrania zimowe, odkłada niepotrzebne książki, zabawki, z których dzieci „już wyrosły". Przy tych czynnościach pamiętajmy. że mały niewidomy Henio potrzebuje ubranka, a Zosia bardzo pragnie mieć własną lalkę.

Rodzice, którzy tak wiele wysiłków wkładacie w wychowanie swych synów i córek, dopomóżcie do tego, aby niewidome dzieci wyrosły na dzielnych, porządnych ludzi.

Wszelkie ofiary należy kierować pod adresem: Tow. Opieki nad Ociemniałymi, Warszawa, Wolność 4.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05 11
(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020
Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40